

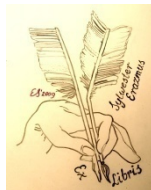
SCHIZOFRENIA

Sylwester K. **ERAZMUS**



Sylwester K. Erazmus

SCHIZOFRENIA



2025

Copyright © Sylwester Erazmus 2025

Wydanie poprawione.

Projekt okładki, redakcja techniczna: Sylwester Erazmus

Zdjęcia na okładce: zbiory prywatne © Sylwester Erazmus / Wikipedia.org / www.bbc.com/news/world-africa

Przegląd wydarzeń historycznych: Portal Historyczny „dzieje.pl” lub pl.wikipedia.org/wiki/Kategoria:Wydarzenia

All rights reserved

ISBN: 978-83-978733-0-8 (e-book)

Blog autora: „...*a to sztuka właśnie...*” – <https://atosztukawlasnie.blogspot.com>

Schizofrenia (schizophrenia) – Psychoza, dla której charakterystyczne są: dezintegracja funkcjonowania osobowości, oderwanie się od rzeczywistości, otępienie uczuciowe oraz zaburzenia emocji i procesów myślowych.

Schizofrenia prosta (simple schizophrenia). – Typ schizofrenii, dla którego charakterystyczne jest redukowanie stosunków z innymi ludźmi, apatia, zamknięcie się w sobie, dezintegracja procesów myślowych oraz trudne do zauważenia urojenia lub halucynacje (tzw. rozdwojenie jaźni).

Schizofrenia paranoidalna (paranoid schizophrenia). – Typ schizofrenii, w którym występują słabo usystematyzowane urojenia; urojenia często nacechowane wrogością, podejrzliwością i agresywnością, występują także urojenia wielkościowe, jak również dezorganizacja osobowości.

Wg P.G.Zimbardo.
Psychologia i życie, PWN 1998

Zwykłym żołnierzom, wszystkim towarzyszom broni dedykuję.

Dedykuję jeszcze tym, którzy w czasach PRL-u znosili codzienny trud życia w raju, także tym, którzy mieli już dość tego szczęścia i postanowili zawalczyć o naprawianie świata, a także tym, którzy służyli swojej ojczyźnie lub obcej. Wreszcie wszystkim tym, którzy dali się zwieść obietnicom tak zwanych przemian demokratycznych, nowego raju i nowych czasów ogólnej szczęśliwości.

Wszystkie osoby, miejsca i wydarzenia są wymyślone, lub co najmniej znaczna ich część, lub odwrotnie, sam już nie wiem albo nie pamiętam.

To, co wydaje się możliwe i prawdopodobne, to takie jest, a to, co wydaje się nierealne, też takie jest.

Tekst zawiera treści, które mogą być uznane za makabryczne lub nieodpowiednie dla osób wrażliwych.

Tak naprawdę, to nie ma żadnego powodu, aby opowiedziana historia musiała być prawdziwa, albo, choć trochę przypominać rzeczywistość.

Część I. Pokój?

Najpiękniejsza przyjaźń istnieje między ludźmi, którzy wiele od siebie oczekują, ale niczego nie żądają.

Albert Schweitzer

Ernest

Złośliwi powiadają o facetach po czterdziestce, że ich dziwne decyzje i zachowanie determinowane jest przez objawy kryzysu wieku średniego albo wczesnego starzenia, którymi objawia się początek andropauzy. Żony i dzieci z politowaniem kiwają głowami, obserwując ich kolejne dziwactwa, śmieją się lub obawiają o nich, widząc coraz to dziwniejsze i zabawniejsze wyczyny swoich *machos*.

Jedni, zmagając się z upływającym czasem, oszukują go poprzez pocernianie siwizny lub zasiew implantów na łysej głowie. Inni jeszcze kupują motocykl i próbują poznawać życie od innej strony mocy. Tych, których na to stać, znajdują sobie nowe, młode żony albo kochanki.

Moje dziwactwo polega na tym, że chcę wam opowiedzieć historię o młodym człowieku. Nie jest ważne czy ta historia jest prawdziwa, nie jest to też żadna powieść ani opowiadanie miłosne. Jeśli brakuje ci jednego słowa, aby wyrazić jakąś myśl, po prostu opowiadasz historię. Gdzieś przeczytałem – nie jesteś skończony, tak długo, dopóki masz dobrą historię i kogoś, komu możesz ją opowiedzieć.

Problem jeszcze w tym, że nikt może nie chcieć uwierzyć w moją historię o nim.

Ktoś inny jeszcze powiedział, że w życiu ma się tylko jednego prawdziwego przyjaciela i tylko raz w życiu spotyka się takiego człowieka. Ja też tak myślałem. Jednak myliłem się. To prawda, on był moim przyjacielem i nigdy więcej takiego nie miałem. On jednak miał to szczęście, że miał ich kilku, takich prawdziwych. Jakby ot tak, mimochodem chciało się być jego przyjacielem.

Urodził się i dorastał w czasach dla większości ludzi naznaczonych gonitwą i problemami życia codziennego w raju stworzonym na ziemi przez komunistów, czyli mniejszości zwanej bolszewikami. Mniejszość tej mniejszości stanowili idealści, i to ich życie w tym raju, wciąż objawiało się przede wszystkim przez walkę o naprawianie świata i poprawianie raju. Był to też ten okres w naszych dziejach, który równie często był naznaczony walką innych idealistów z tymi, którzy świat naprawiali. Czasy o tyle ciekawe, co wyjątkowe, obfitujące w burzliwe, czasem okrutne wydarzenia, sprawiły, że wielu takich jak on, było przeświadczonych o wyjątkowości swojego losu i życia.

Miał rzadkie, niecodzienne imię – Ernest.

Poznałem Ernesta późną wiosną 1988, w wieku prawie dwudziestu trzech lat. Właściwie to wciąż miał wygląd i urodę dużego chłopca. Był średnio wysoki, o szczupłej jeszcze wtedy sylwetce. Ciemne, prawie czarne włosy, wciąż chłopięca

twarz z wysokim czołem oraz łagodnymi, ciepłymi i ciemnymi oczami powodowały, że od pierwszego kontaktu nabierało się do niego sympatii i jakiegoś takiego bezwarunkowego zaufania.

To, co zawsze zwracało uwagę, powodując, że nie można było przejść obok niego obojętnie, było jego spojrzenie, zwykle łagodne i pogodne, ale czasem na wskroś przenikliwe i ostre. Jednak zawsze wywierało wrażenie, odciskając ślad na sercu, piętno na duszy lub w psychice. Nie można go było nie lubić, zresztą był typem, który łatwo dał się lubić, może nawet nieświadomie zawsze chciał być lubiany. Jednak było też czasem w nim i w jego spojrzeniu coś, co u niektórych wywoływało pewien rodzaj awersji lub agresji.

Nikt nie był i nikt nie mógł być wobec niego obojętny.

Mieszkaliśmy w średniej wielkości powiatowym miasteczku na południu, na pograniczu województwa krakowskiego, wtedy tak się jeszcze nazywało.

Zajmowałem się malarstwem sztalugowym, chciałem móc się określić artystą, nie tylko, dlatego i dzięki temu, że byłem zrzeszony w lokalnym ZPAP-ie. Zarabiałem głównie na wykonywaniu kopii znanych dzieł malarstwa klasycznego. Większość moich prac wędrowała w prywatne ręce towarzystwa partyjnego z komitetu zakładowego i powiatowego. Powodziło mi się całkiem nieźle.

Byłem o prawie 20 lat starszy od Ernesta. Odwiedzał mnie regularnie w moim mieszkaniu i pracowni, przychodził grać ze mną w szachy. Uwielbiał to, chociaż nie był zbyt dobry. Tak naprawdę interesowała go moja praca, obrazy, sztuka. Przez długie chwile wpatrywał się w jakiś obraz, jakby kontemplował go w swoim cichym zamyśleniu. Przy każdym spotkaniu, przy każdej partii piliśmy wódkę, a on opowiadał mi o sobie.

Jeśli głębokość przyjaźni jest definiowana przez ilość butelek razem wypitej wódki oraz ilość czasu wspólnie spędzonego na rozmowach o polityce, o kobietach, o świecie, nierzadko do rana, to nasza relacja była bardzo głęboką przyjaźnią. Polubiłem go pomimo tej znacznej różnicy wieku między nami. Również za jego dziecienny wręcz niewinny wygląd, za jego szczerość w zachowaniu, by nie powiedzieć naiwność.

Nasze spotkania i rozmowy bardzo nas zbliżyły. Lubił i potrafił ciekawie mówić. Za każdym razem były to opowieści o przeżyciach ze swojego dzieciństwa, albo o wydarzeniach z ostatnich lat.

A pomimo młodego wieku, miał dużo do opowiedzenia.

Poznałem go wtedy dosyć dobrze. Wierzył i ufał ludziom bardzo łatwo, zbyt łatwo. Jego łagodność i dobroduszość wynikała z tych głębokich, trudnych i właściwie tragicznych przeżyć.

Chociaż dzisiaj nie jestem już pewien, ile było w nich prawdy. Niektóre były tak niewiarygodne, niczym zmyślane przez wybujałą wyobraźnię. Jakby tracił poczucie rzeczywistości, zatracił granicę pomiędzy tym, co prawdziwe, a co odrealnione. Opowiadał beznamiętnie, lecz z pełnym przekonaniem, tak jak inni opowiadają na przykład o pogodzie. Przy tym uśmiechał się prawie bez przerwy, w każdej sytuacji, niezależnie, czy smutnej, czy wesołej. Jakby pod maską szerokiego i nieustającego uśmiechu chciał schować całe zło świata, które dane było mu widzieć. Jakby okrucieństwa i tragizm sytuacji, jakich doświadczył, chciał zatuszować permanentnym optymizmem. Swoiste rozdwojenie jaźni, istny obłęd i schizofrenia.

Pewnego dnia przyniósł mi paczkę kilkunastu kopert spiętych gumką. Każda zawierała po kilka kartek odręcznie pisanych listów. Koperty znaczone licznymi śladami brązowych plam jakby zakrzepłej krwi. Pieczęcie odcisniętych palców miały być krwawym świadectwem autentyczności. Oznajmił wtedy, że to jedyna pamiątka, jak mu została z tych ostatnich kilku lat. Pisał te listy do jakiejś francuskiej dziewczyny.

Zostawił mi je, mówiąc, że mogę przeczytać, jako dopełnienie jego opowieści. Znalazłem pośród nich też kilka fotografii i rysunków, jakie wtedy wykonał w swoim pamiętniku. Jednak treść tych listów, ogrom tragizmu, jaki z nich wypływał, poznałem dopiero po pewnym czasie, gdy poprosiłem moją przyjaciółkę o przetłumaczenie. Wtedy zorientowałem się, jakim powiernikiem jego tajemnic zostałem. Z początku nie mogłem pojąć, dlaczego tak postąpił, dlaczego mi zaufał. Odpowiedź okazała się banalnie prosta. Chciał o tym zapomnieć, wyrzucić z pamięci, aby chronić swoją rodzinę, jednocześnie nie skazując na zapomnienie pamięci o tej dziewczynie.

Z tego powodu zaplątałem się w sieci jego przyjaznego usposobienia i ufności. Wciąż nie jestem pewien, czy odpowiedziałem mu swoim pełnym zaufaniem, ale wiem, że mężczyzna ufa innemu mężczyźnie wtedy, gdy porównuje się do niego, gdy widzi w nim siebie, albo, kiedy podświadomie uznaje go za człowieka, którym chciałby być.

Dzisiaj jestem pewien, że to dzięki niemu, dzięki jego ufności w ludzi i wierze w dobro świata, niesieni na fali wydarzeń wczesnej wiosny 1989, zdecydowałem się razem z nim, jakby na złość i wbrew wszystkim moim mocodawcom, zainicjować niezależny komitet wyborczy w mieście, wpadliśmy w wir wydarzeń politycznych, tak

zwanych przemian demokratycznych następujących po układach Okrągłego Stołu. Chcieliśmy naprawiać zepsuty przez komunę świat, chcieliśmy zmian.

Tak naprawdę to on chciał.

Ja byłem jednak bardziej pragmatyczny. Chcieliśmy wolności i chcieliśmy lepszego życia dla ludzi. Jednak po wielu latach, wciąż zadaję sobie pytanie, czy ci wszyscy ludzie dookoła tego chcieli?

Moje znajomości wśród towarzystwa partyjnego dały mi mocne i stałe miejsce w polityce, oraz łagodne przejście w ich struktury przy tych niby-demokratycznych zmianach.

On jednak, jakby ciągle działał wbrew wszystkim i wszystkiemu, przede wszystkim na przekór swojej matce. Właśnie historia o jego matce była jedną z pierwszych opowieści, które od niego usłyszałem. Wiecznie walcząca z całym światem, zaślepiona powojenną komunistyczną ideą naprawiania świata. Od momentu, gdy w młodości pierwszy raz zetknęła się z ogólnie panującą i jedynie słuszną ideologią socjalizmu, łatwo uległa ułudzie możliwości urzędzenia świata na nowo. Zafascynowała ją filozofia równości klas, sprawiedliwości społecznej i równych szans dla wszystkich. Jednak, jako jedna z nielicznych w swoim otoczeniu, była prawdziwą idealistką.

Po kilku latach okazało się, że wspięła się wysoko w hierarchii rządzącej w kraju partii robotniczej. Jednak były to również czasy, gdy to mężczyźni zdominowali całe środowisko polityczne. Jej pozostały znajomości i układy pośród dygnitarzy. Była aktywna, wiecznie zabiegana, zaangażowana i mocno uwikłana w życie polityczne i intrygi struktur partyjnych. Jak sama mawiała, musiała być agresywnie sugestywna, by wpływać na zamierzenia oraz decyzje partyjnych sekretarzy, poczynając od miast powiatowych, kończąc na szczeblu wojewódzkim i centralnym.

Oczywiście miało to swoje konsekwencje w zaniedbywaniu wychowania swojego syna Ernesta.

Wiecznie nieobecna z powodu wyjazdów służbowych na zebrania i narady egzekutywy partyjnej, zostawiała pod opieką niani lub u swojej matki, by jej młodsze siostry mogły zajmować się nim. Równie często zabierała go ze sobą. A on, jako dziecko siedział grzecznie i spokojnie z boku, bo uwielbiał ten splendor tajemniczego świata czarnych limuzyn ustawionych przed budynkami niczym pałace, należących do dygnitarzy partyjnych. Oczarowywała go atmosfera przesiąkniętą gęstym dymem papierosów, stołów pokrytych zielonym suknem, zastawionych literatkami i licznymi butelkami wódki. Przemowy, dyskusje, układanie planów rozwoju, sposobów i

strategii utrzymania władzy partii, a przede wszystkim pozostawiania samemu u szczytu, u steru dla narodu.

To oczarowanie z czasem przerodziło się w przeciwne uczucie. Znienawidził system, który zabierał mu matkę, rodziców, bo ojca nie pamiętał.

Ernesta nie widziałem już od kilku lat, odkąd wyjechałem z kraju do Hiszpanii. Uciekłem, zostawiłem wszystko i wszystkich, wmawiając sobie, że chciałem wreszcie doświadczyć innego świata, poznać, zobaczyć kobiety, przepełnione tą subtelnością i niewypowiedzianą tajemnicą. Kobiety, które mają w sobie tę wyjątkową iskrę, temperament, tę zdolność uwodzenia i jednocześnie zdolność wysyłania subtelnych sygnałów, że chcą być uwodzone. Opanowały tę sztukę do perfekcji. Umiejętność odpowiedzi i zachętę do flirtu, bycia zdobywaną, potem odpychania od siebie. Niedopowiedzenia, spojrzenia, gesty, ubiór. Na tym to wszystko polega.

Zamieszkałem na południu w Maladze, mieście Picassa.

Teraz spisuję tę opowieść, a właściwie kilkanaście opowieści Ernesta. Sam nie wiem, dlaczego, może po to, aby nie zostały zapomniane, a może po prostu brakuje mi rozmów z Ernestem, jego maski permanentnego uśmiechu. Nie był jednym z tych, którzy uśmiechają się, żeby coś osiągnąć, ani też nie dlatego że napotkał coś naprawdę godnego uśmiechu. Zwyczajnie był po prostu pozytywnie nastrojony i przepełniony przyjacielskim nastawieniem oraz dobrem wobec wszystkich i wszystkiego.

Pamiętam, jak kiedyś powiedział, tak spontanicznie, bez żadnego celu, ani powodu, że przyczyną każdego dobrego uczynku, lub pozytywnego, altruistycznego albo filantropijnego działania jest jakaś mroczna tajemnica. Możliwe, że nie zawsze tak jest, ale w jego przypadku, na pewno.

Wszystko, co przeżył, doświadczył, wypełniało go wewnętrznym bólem, aby łagodzić te objawy, jego umysł tłumił wyrzuty sumienia i wstyd za zło, które przypadło mu w udziale. Pewnie dlatego druga część jego duszy, dla równowagi uruchamiała w nim ten optymizm i trwały uśmiech.

Wówczas stwierdził też, że z tego powodu właśnie czuje jakieś rozdwojenie jaźni. Bo ta łagodność, ten optymizm, dają ukojenie i spokój sumienia, które staje się milczące i dalekie, jak nieme, niedosiężalne gwiazdy, w momentach, gdy z ukrytych zakamarków jego myśli wypływają wszystkie jego mroczne tajemnice i ukryte motywy, przywierając od wewnątrz do jego maski wesołości.

Istny obłęd — Rok 1985

- W marcu 1985, „Amadeusz” Milosa Formana zostaje uznany za najlepszy film i zdobywa Oscara w kilku kategoriach, jednak w kategorii Muzyka z Piosenkami wygrywa „Purpurowy deszcz” Prince’a.
- W dniu 26 kwietnia, w Warszawie, przywódcy państw zależnych od ZSRR podpisali protokół przedłużający istnienie Układu Warszawskiego na kolejne 20 lat.
- W Toruniu, 7 lutego zapada wyrok skazujący sprawców śmierci ks. Popiełuszki. Niedługo potem, bo już 13 lutego w Gdańsku, SB zatrzymała pod zarzutem o udział w konspiracyjnym posiedzeniu TKK NSZZ „Solidarność”: Władysława Frasyniuka, Bogdana Lisa i Adama Michnika. A 30 kwietnia OPZZ przejmuje majątek „byłych związków zawodowych” NSZZ Solidarność.
- 11 czerwca na berlińskim moście Glienicke, Marian Zacharski, agent wywiadu PRL skazany w USA na dożywocie za szpiegostwo zostaje wymieniony na inne osoby szpiegujące na rzecz sił zachodnich.
- Na początku roku, w Afryce Środkowej, w Czadzie, fiaskiem zakończyła się operacja Manta, będąca faktycznie francuską interwencją w wojnie domowej spowodowanej przez Libię rządzoną przez dyktatora Kaddafiego. Misja wojskowa okazała się polityczną klęską prezydenta Francji Mitteranda, zwiedzonego przez libijskiego przywódcę propozycjami rozejmu w celu wycofania wojsk. Dochodzi do inwazji libijskiej, która spowodowała utratę całego terytorium Czadu na północ od szesnastego równoleżnika. Francja traci kontrolę nad spornymi terenami w regionie Aozou, bogatymi w surowce naturalne.
- W lipcu na stadionie Wembley podczas koncertu rockowego Live Aid — legendarny już zespół Queen daje najlepsze widowisko „ever”, aż 72 tysiące widzów klaskało w jednym tempie podczas utworu „Radio GaGa”.
- Na początku listopada w Zabrzu, prof. Religa przeprowadza pierwszą udaną w Polsce transplantację serca, w połowie tego miesiąca Milicja Obywatelska rozpoczęła akcję „Hiacynt”, polegającą na zbieraniu informacji na temat osób o orientacji homoseksualnej — uzyskane materiały miały służyć do szantażowania homoseksualistów i zmuszania ich do współpracy z SB.
- W Genewie, 19 listopada spotykali się Prezydent USA Ronald Regan i przywódca ZSRR Michaił Gorbaczow, który zainicjował w swoim kraju Pięrestrojkę.
- Dzień później Microsoft zaprezentował swój nowy/nawatorski system operacyjny Windows 1.0.

Wzburzony, rozhuśtany Bałtyk raz po raz kołysał kadłubem okrętu, trałowca o numerze bocznym 621, rzucając nim w dół, to znów unosząc dziób. Jakby to była mała łódka na jeziorze. Trójnożny maszt z radarami i anteny miarowo chwiały się na boki dodatkowo kołysane przez mocujące je sprężyny. Miało się wrażenie, że fale tworzą kilkumetrowe zagłębienia, ni to wyrwy w powierzchni morza, po to, by znów spiętrzyć się niczym wzniesienie kilkadziesiąt metrów dalej.

Tak właśnie to widział Ernest Szulkin, gdy przebywał na pomoście śródokręcia za główną nadbudówką, kurczowo trzymając się jedną ręką obramowania podestu na pływak, aby nie stracić równowagi. Spieniona woda raz po raz zalewała pokład zimnym prysznicem. Z niełatwym wysiłkiem, drugą ręką przekładał linę przez oka w obramowaniu, próbując przymocować ogromne metalowe, podłużne pływalki trałowe. Klęczał pochylony na czworaka na żelaznej ramie, plecami odwrócony do rufowej nadbudówki, na której dwie wieże armat przeciwlotniczych dumie patrzyły w niebo swoimi czterema lufami.

Niedawno skończyli ćwiczenia w trałowaniu w ostatnim dniu manewrów morskich z zaprzyjaźnioną flotą radziecką. Było to uroczyste wydarzenie ku chwale i na cześć traktatu Układu Warszawskiego, przedłużonego przeszło dwa miesiące temu.

Teraz, jako najmłodszy marynarz otrzymał to zadanie od szefa minerów, spasionego bosmana, draba z grubym karkiem. Mówiło się, że inteligencja minerów, ta nazwa w ich przypadku określała zespół obsługi trału, jest odwrotnie proporcjonalna do grubości ich szyi. Wszyscy najmłodsi marynarze milcząc, w wyobraźni mierzyli obwody ich karków, w duchu śmiejąc się z nich. Dawało im to odrobinę ulgi i odreagowania na różne szykany ze strony starszych marynarzy, psychiczne i fizyczne znęcanie się oraz ogólne trudy bycia najmłodszym w hierarchii.

Ernest właśnie kończył przywiązywać ostatni pływak, gdy usłyszał za sobą głos jednego z nich.

– Hej baniaku¹, kończ to i biegusiem na mostek, wzywa cię DO².

– Już kończę, jeszcze ostatni.

– Jakie, kurwa, kończę, biegiem, już dawno miały być przysztormowane. Jak się rozsypią przy tej szóstce³, to masz wpierdol, ja nie będę za ciebie roboty odwalał!

¹ Przyp. autora: pogardliwie o młodym marynarzu, odp. "kota" w wojskach lądowych

² Przyp. autora: Dowódca Okrętu

³ Przyp. autora: stopień siły wiatru w skali Beauforta

– Spoko, już skończyłem, jest solidnie.

Ernest uśmiechnął się, kończąc wiązać ostatni węzeł. Wyprostował się, przytrzymując się pilary pod rufową nadbudówką, bo w tym momencie pokład uciekł mu spod nóg, opadając o dobre pół metra. Poprawił kombinezon, trzymając się relingów, już chciał prześliznąć się obok minera, nie spuszczać z niego wzroku, gdy ten złapał go za bluzę na piersi.

– A gdzie ty, kurwa, masz kapok? Przy takim wietrze na głównym pokładzie bez kapoka? Przecież mogę teraz cię do wachy⁴ i nikt by nawet nie zauważył.

Ernest wystraszył się nie na żarty i odruchowo mocniej ścisnął łańcuch relingu. Już drugi raz miał wrażenie, że chcą się go pozbyć po wydarzeniach sprzed dwóch dni. Teraz po ostatnim zadaniu w manewrach mieli wracać do bazy w Helu, czekali tylko na rozkazy przez radio.

Wachtę w kabinie radio miał teraz jego szef Mirek (do cywila jeszcze rok). Podczas mocowania pływaków, pomimo szumu wiatru i fal, Ernest przez otwarty bulaj w kabinie radio znajdującej się tuż nad pomostem, słyszał charakterystyczne piski, kropki i kreski, gdy Darek potwierdzał morsem, właśnie odebrane komunikaty, a potem jak pracuje maszyna deszyfrująca, wydając charakterystyczne zgrzyty i skrzypienia.

– Melduję starszy, że bosman wyrwał mnie po wachcie z kabiny radio, zaraz po wybraniu trału i kazał mi tak, jak stałem, poukładać i przymocować pływaki.

– I do tego, kurwa, jeszcze kapuś. Jak śmiesz?

Ernest zamilkł, wiedział, że każde słowo więcej tylko pogorszy sytuację.

– Dobra, masz szczęście, że cię lubię, biegiem do DO!

To była prawda starszy miner, liczył już ostatnie dni do wyjścia do cywila i nieraz dawał Ernestowi fory.

Cała ta sytuacja była tylko pozą, bo pewne reguły w wojsku są nie zamienialne, uniwersalne, jak porządek, hierarchia i lojalność. „Chociaż” – pomyślał Ernest – „wszystko już mu powinno zwisać”. Ale wiedział też, że źle zrobił i znowu trochę podpadł, mówiąc o poleceniu bosmana i próbując na niego zrzucić winę za brak kapoka.

Otworzył właz do nadbudówki i wspiął się biegiem po trapie na najwyższy pokład GSD⁵, głośno tupiąc marynarskimi butami, aby był słyszany z daleka.

– Obywatelu kapitanie, marynarz Szulkin melduje się na rozkaz.

⁴ Przyp. autora: wacha - żegl. morze, woda morska

⁵ Przyp. autora: Główne Stanowisko Dowodzenia

Głowy wszystkich obecnych zwróciły się w jego stronę. Omiotło go kilka złowrogich spojrzeń, jakby winili go za te wszystkie wydarzenia.

– Wejść i spocznij – usłyszał głos DO, kapitana Drejerskiego – przyszedł rozkaz ze sztabu floty w Gdyni, wracacie do Centrum. Oficjalnie, jako instruktor radiotelegrafii. Powiedziałem oficjalnie, bo nie spotkałem się jeszcze z tym, aby przyjeżdżali po instruktora. Wieczorem będziemy w bazie na Helu. Rano zameldujecie się u oficera dyżurnego jednostki w porcie, ktoś z WSW⁶ ma po was przyjechać na dziewiątą. W nocy się spakujecie. Do rana macie wachtę w radio, myślę marynarzu, że tam bezpiecznie przeczekać i fala was tam nie dopadnie. Nie pokazujecie się już na apelu porannym przy podniesieniu bandery. Od rana będziecie wykreśleni z ewidencji.

Ernest powiedział oczami dookoła, spojrzenia zebranych na mostku oficerów były jeszcze bardziej nieprzyjemne.

– Chyba trochę uratowałem wasze dupsko – dodał kapitan – mam nadzieję, że nie będziecie zbyt dużo opowiadać o tym, co tu zaszło. Wszystko zostało napisane w raporcie i wysłane do sztabu. Mam nadzieję, że przez te parę miesięcy w naszej jednostce zdążyliście się już nauczyć, co to lojalność. Zwłaszcza lojalność wobec samego siebie. Życzę powodzenia. Chyba już się nie zobaczymy. Odmaszerować.

– Tak jest – odpowiedział Ernest, regulaminowo zaszalutował do orzełka na czarnym berecie, wykonał w tył zwrot, opuścił GSD.

Ślizgając się po poręczach trapezu, zjechał na niższy pokład, po czym pobiegł do kabiny radio. Jakoś przeczeka do rana, nawet nie zejdzie do kajuty na kolację, o ile szef radia mu nie przyniesie.

Darek właśnie siedział przy radiostacji i stroił odbiornik, popatrzył na młodszego kolegę.

– Wiem już wszystko, to ja im zaniósłem depeszę, jedziesz do Centrum, szczęściarz z Ciebie, ale kto, jeśli nie ty – uśmiechnął się – bo naprawdę dobry w tym jesteś. Z drugiej strony chyba już nie miałbyś tutaj życia po tym wszystkim. Zgnoiliby cię, wykończyli, albo doprowadzili, że sam byś skończył ze sobą. Tak jak Ślęzak. Większość cię tu lubiła, nikt za bardzo cię nie ścigał, nawet trepy⁷. Teraz wszyscy są przeciwko tobie. Nie tolerują buntowania się młodych. Wiedzą, że na starych i doświadczonych żołnierzach mogą polegać. A młodzi muszą się uczyć. To się sprawdza w morzu, w zadaniach bojowych, bo wtedy oni sami mają pełne gacie ze strachu, a doświadczenie i zgrane działanie to podstawa.

⁶ *Przyp. autora: Wojskowa Służba Wewnętrzna - ówczesna żandarmeria*

⁷ *Przyp. autora: pogardliwie o kadrze zawodowej*

Ernest milczał.

Wiedział, że to racja, że tak jest. Marynarka wojenna to jednostki wojskowe praktycznie cały czas wykonujące zadania bojowe, nawet w czasach tak zwanego pokoju. A morze to żywioł, którego nie można lekceważyć.

Ot, twarda i trudna służba w marynarce.

Problemy zaczęły się trzy dni temu w piątkowy poranek. Zaplanowano pokazowe ćwiczenia w rozbrajaniu min morskich. Pokazowe, bo w obecności okrętów zaprzyjaźnionej floty radzieckiej z Bałtyjska. Dobra okazja dla kadry oficerskiej, aby się pokazać lub zarobić kilka punktów w karierze.

Zadanie polegało na unieszkodliwieniu wytrałowanych min morskich, atrap właściwie, przez ekipy saperskie podpływające w łodzi do unoszących się na powierzchni ładunków. W drugim ćwiczeniu miny miały zostać zdetonowane poprzez ostrzelanie z armaty na wieży dziobowej.

Młody marynarz, artylerzysta, podszedł do sprawy ambitnie, uparcie celował do pływającego obiektu wielkości beczki na paliwo, oddalonego o około 150 metrów od okrętu. Uparcie, bo otrzymał rozkaz, aby strzelić, niezależnie czy trafi w minę, czy tylko obok. Liczyło się oddanie strzału, dowódca okrętu wraz z radzieckim oficerem inspekcyjnym, uzgodnili już wcześniej przy butelce wódki dobrą ocenę. Jednak Ślăzak z mozołem próbował zgrać przyrządy celownicze, przeszkadzały mu fale bujające kadłubem okrętu. Już był pewien trafienia, nacisnął trigger, gdy niespodziewanie kolejna fala zakołysała okrętem. Wszyscy wpatrzeni w pływającą minę usłyszeli ogłuszającą podwójną kanonadę z dwóch luf armaty, razem cztery pociski miały uderzyć w jej pobliże. Zaskakująco jednak nic takiego się nie stało, wpatrywali się w obiekt nadaremno, po blisko pięciu sekundach, ich oczom ukazały się cztery gejzery piasku na plaży pośrodku Mierzei Wiślanej. Z niedowierzaniem pokręcili głowami. Przez megafon rozgłosił natychmiast padła gniewnym głosem komenda, głosem pijanym od agresji i wódki.

– Artylerzysta wstrzymać ogień, zabezpieczyć dział! Natychmiast opuścić stanowisko bojowe, drugi oficer przejąć jebanego baniaka i zamknąć w mesie pod strażą, do przesłuchania!

Afera związana z ostrzelaniem brzegu przez jednostkę pływającą okazała się ogromną kompromitacją przed radzieckim inspektorem. Co prawda ten odcinek mierzei był strefą wojskową i nadgraniczną, z zakazem wstępu cywilom, ale nigdy nic

nie wiadomo, poza tym mogli tam znajdować się wojskowi, w szczególności radzieccy.

W konsekwencji kadra podpuściła starszych służbą marynarzy, ci zrobili sobie z przerażonego chłopaka ofiarę i pośmiewisko. Oprócz psychicznych szykan nie mogło obyć się bez przemocy fizycznej, poszturchiwali, popychali go, tak, że odbijał się od ścian lub od innych, starszych członków załogi, którzy tym bardziej go odpychali. Sypały się częste razy w brzuch lub w plecy, jego twarz wkrótce opuchła od ciosów, siniaki, krwawiące usta i oba łuki brwiowe, pokryły twarz strugami krwi.

Załamany wewnętrznie chłopak, czuł się winny tego, co zrobił, ale nie zasługiwał na takie poniżanie i znęcanie się. Przecież chciał jak najlepiej.

W normalnym wojsku powinno skończyć się to regulaminowym sądem wojskowym, z karą zależną od tego, czy były ofiary. Dodatkową odpowiedzialność ponosił dowódca okrętu, odpowiedzialny za wyszkolenie artylerzysty.

Ślązak nie wytrzymał haniebnego, upadającego traktowania, w nocy wymknął się do łazienki i tam podciął sobie żyły w obu nadgarstkach. Na szczęście, nieprzytomnego już chłopaka odnalazł Ernest, który po skończonej wachcie w kabinie radio, został przydzielony „w ramach odpoczynku” do czyszczenia zęzy. W nocy skończył pracę i poszedł do łazienki się umyć. Wtedy zobaczył leżące na metalowej posadzce ciało w szaro-granatowym kombinezonie. Nie od razu zauważył, co się stało.

Często się zdarzało, że młodzi chowali się w łazience, by na drewnianych gretingach złapać kilkanaście minut snu. Jednak Ernest pośliznął się na lepkiej mazi i przewrócił się na leżącego. Gdy ten nie zareagował, zorientował się, że coś musi być nie tak. Zapalił światło. Lepka maź okazała się karmazynową kałużą krwi, której większość i tak już zdążyła odpłynąć do otworu ściekowego. Zsunął tamtemu skarpety i silnie obwiązał nimi jego nadgarstki. Skarpety nadawały się do tego idealnie, były długie i elastyczne, po związaniu dobrze uciskały. Natychmiast wywołał alarm, meldując oficerowi dyżurnemu na GDO. Wezwano okręt ratowniczo-medyczny, znajdujący się w konwoju eskadry.

– Tak się kończy samowola w wojsku i niewykonywanie rozkazów – skwitował zająście DO – gdyby baniak wykonał rozkaz i strzelił natychmiast, bez ambitnego celowania, nie byłoby problemu. To jest nauczka, że młodzi nadają się do czyszczenia zęzy, nawet nie do zadań, które są proste i łatwe. – Odwrócił się w stronę Ernesta. – Marynarzu, w nagrodę wyczyścicie posadzkę z krwi oraz zdrapiecie ją z tych drewnianych gretingów, do białego. – Wtedy nerwowym ruchem rozbił butelkę po wódce o metalową burtę. – Tutaj macie szkło do drapania drewna. Przystąpić do zadania natychmiast.

Dzięki szybkiej reakcji Ernesta, młodego artylerzystę zabrano do szpitala, po drodze podano mu kroplówki, w rezultacie odratowano. Chłopak przeżył. Po miesiącu zabrano go do wojskowego psychiatryku, po kilku następnych, został zwolniony ze służby wojskowej i wrócił do domu.

Jednak po tej feralnej nocy, tak zwana fala zawzięła się na Ernesta. Od rana zaczęły się groźne spojżenia, odzywki. Zarzucali mu, że za wcześniej poszedł się myć – „coś ty taki czyścioch się zrobił, że w nocy do łazienki chodzisz?”

Następnego dnia po południu skończył wachtę w radiu, zmienił go Darek, jako dowódca zespołu łączności. Właściwie mieli wakaty, bo było ich tylko dwóch do radia. Wachty w kabinie trzymali na zmianę, z tą różnicą, że młody marynarz, zamiast na odpoczynek, udawał się do wykonywania innych czynności pomocniczych, głównie, jako pomoc kuchenna na zmywaku, sprzątanie sanitariatów, lub czyszczenie zęb, które podczas rejsu podlegały stałemu nadzorowi.

Po wyjściu z kabiny zjechał po poręczach przy trapiu na dolny pokład. Takie ślizgi, ze względów bezpieczeństwa były zabronione, ale i tak wszyscy i wszędzie się ślizgali.

Drogę zastąpił mu starszy hydroakustyk Roman.

– No mam cię gównozjadzie. Teraz wymyślisz sobie karę za to ślizganie się! – Z tyłu za Ernestem pojawił się inny przedstawiciel fali, nie widział, kto to taki, ale jego kombi śmierdziało naftą, smarem i olejami, więc domyślił się, że to któryś z minerów.

– Przepraszam starszy.

– Jakże przepraszam? Gleba! Padnij! Zastanawiaj się i mów szybko, jaka kara!

Pomiędzy działem czwartym, czyli radiowcami, a piątym, czyli obserwacją techniczną, hydroakustykami i radarowcami panowała napięta atmosfera, utajona rywalizacja o względy dowództwa i kadry. Dlatego ten przedstawiciel działu piątego, doświadczony marynarz, któremu do cywila, po prawie trzech latach służby, zostało zaledwie dwa miesiące z okładem, wyraźnie nie przepadał za Ernestem. Ktoś patrzący na tę sytuację z boku powiedziałby z przekonaniem, że go nienawidził.

Ernest usłuchał polecenia, nie chciał drażnić starego, więc jak długi rzucił się na pokład w pozycji gotowej do robienia pompek.

– Po coś laż do tej łazienki w nocy? Przecież wstydu nam tyle narobił przed sojusznikami.

– Przepraszam starszy, czy starszy ma mi za złe, że go znalazłem i uratowałem?

– Domyśl się, kurwa, nie ma człowieka, to nie ma problemu!

Ernest nadal w pozycji leżącej z rękoma przy tułowiu wspartymi na posadzce zaryzykował i postanowił odpowiedzieć.

– Chyba byłby większy, gdyby zszedł, bo wtedy to sprawa kryminalna, a tak tylko błąd i nieuwaga przy wykonywaniu zadania bojowego, właściwie nie nawet bojowego tylko ćwiczebnego.

– Ty się tak, kurwa, nie wymądrzaj, tymi regulaminami. Dojebimy cię i tak! – Wtedy wymierzył kopniaka w prawy bok leżącego Ernesta. Chłopak przekręcił się na bok, usiadł, trzymając się za brzuch łapczywie, prawie teatralnie próbując wyrównać oddech.

– Kto ci pozwolił usiąść? Gleba, jeszcze raz!

Ernest podniósł wzrok na przeciwnika, patrząc mu w oczy z przerażeniem pomieszanym z niewypowiedzianą groźbą. Z każdą sekundą dochodził do siebie, zyskiwał czas. Nie spuszczać wzroku z napastnika, powoli podniósł się i wyprostował. Złowrogie i nienawistne spojrzenie młodego musiało odnieść skutek, bo tamten zamilkł i stracił pewność siebie, zwłaszcza gdy dotarli do niego ciche, prawie szepcane słowa Ernesta.

– Ty pojebany jesteś, wiesz?

Zdezorientowany buntem młodego marynarza, Roman otworzył szeroko usta, zaniemówił. Ernest ciągnął dalej.

– Do cywila zostało ci dwa miesiące, a zachowujesz się jak pajac. Mózg ci tutaj wyprali. Jacy, kurwa, sojusznicy? Jaki wstyd? Chłopak poddał się, bo go zgnoiliście, pociął sobie kable, a tobie rozchodzi się, że przeżył? Co to, kurwa, jest więzienie, czy armia? Tak cię kadra nakręciła? Ty, szczególnie ty powinieneś mieć już wyjebane na wszystko, a przejmujesz się jak młody rekrut.

Chwila ciszy, zaskoczenie było pełne, miner stojący z tyłu ze słyszalnym świstem wciągnął powietrze i wstrzymał oddech w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Hydroakustyk oprzytomniał dopiero po chwili, wtedy się odezwał:

– Baniaku! – wycedził przez zaciśnięte usta. – To ty jesteś pojebany, właśnie podpisałeś na siebie wyrok.

Był wyższy od Ernesta, dobrze zbudowany, wyćwiczony regularnymi odwiedzinami w siłowni i z pewnością silniejszy od niego. Wykonał zamach prawą ręką, zwijając dłoń w pięść, wymierzył prosty cios, celując w głowę Ernesta. Ten jednak spodziewał się tego, był szybszy i uchylił się, tamten zachwiał się, tracąc na sekundę równowagę. To wystarczyło, gdy wracał do swojej pierwotnej pozycji, Ernest zrobił nagły krok do przodu i głową wałnął go centralnie w splot słoneczny.

Uderzenie było tak silne, że starszy marynarz został odrzucony w tył na dwa kroki, zatrzymał się na burcie nadbudówki, dusząc się po utracie tchu.

Wtedy usłyszał złowrogo brzmiące, wypowiedziane z nienawistną pasją, słowa Ernesta.

– Obyśmy nigdy się nie spotkali na głównym pokładzie, bo cię do wachy wjebię. Mnie jest wszystko jedno, bo jeszcze dużo mi zostało w tym syfie, a ty do cywila chcesz wrócić, więc jak cię podpierdole do politycznego, zrobię aferę o siebie i o tego Ślązaka, to pewnie za rok albo dwa nawet nie wyjdiesz.

Ernest kątem oka zauważył, że miner również próbuje go dosięgnąć, zrobił kolejny unik, chwycił się oburącz poręczy trapu, przeskakując po trzy lub cztery stopnie, w mgnieniu oka znalazł się na wyższym pokładzie. Otworzył właz do kabiny radio i schował się w środku. Biegący za nim usłyszeli tylko metaliczny szczęk blokowanych rygli. Jednak po minucie właz otworzył się, i z kabiny wyszedł Darek, szef radia.

Staął oko w oko z hydroakustykiem.

– Romek, co ty odpierdalasz? Przecież mało ci zostało. Tak ci się w tym syfie spodobało, chcesz tu zostać? Przecież on zdecydował się, że cię podpierdoli, bo nie ma nic do stracenia. – Darek wyraźnie był zdenerwowany. – Opuść mu, jeden problem już mamy z tym Ślązakiem, chcesz drugiego nieszczęścia?

– Ale on mi właśnie przyjebał z bańki, nie daruję mu!

– Chyba będziesz musiał, bo on jest pod moją ochroną, ja go potrzebuję. Zresztą, kto to widział?

– Jak to, kto? – Romek nie dowierzał.

– Po prostu przegiąłeś! – Odwrócił się w stronę drugiego przybysza pod drzwi kabiny radio. – Hej, miner widziałeś to?

Gruby kark minera poczerwieniał z niepewności, dodatkowo cały na twarzy razem z uszami. Myślenie przychodziło mu z trudem i chyba w ten sposób się to objawiało.

– Darek, no, co ty? Jak to? Bronisz baniaka?

– Widziałeś? – Tym razem pytanie podszyte groźbą, z bliska, prosto w twarz.

– No właściwie to nie, nic nie widziałem, ciemno było.

– Wracajcie do siebie. Na dzisiaj dosyć. Jutro pogadamy, ochłoniemy i zobaczymy, co z tym zrobimy.

I to był moment przełomowy. Ernest przeczekał do rana w kabinie, nie odważył się pójść do kubryku rufowego, swojego pomieszczenia sypialnego, które znajdowało się, w tylnej części kadłuba, tuż przed przedziałem trałowym. Hydroakustyk miał przydzieloną kaję w pomieszczeniu dziobowym, dalej był tylko magazyn i forpik. Jednak uspokoił się, prawdopodobnie dotarło do niego, że jeśli Ernest rzeczywiście poskarży się do oficera politycznego, ten będzie musiał coś z tym zrobić.

Tak, jak zapowiedział Drejerski, przed dziewiątą rano przyjechał po niego ciemnozielony gazik z białym pasem na karoserii i stylizowanym oznaczeniem „WSW”, z obsadą dwóch żołnierzy, jeden kapral kierowca, drugi w randze chorążego, jako dowódca eskorty.

Po uregulowaniu przez chorążego dokumentacji osobowej w ewidencji jednostki, Ernest opuścił miejsce w sali spotkań, pożegnał się z panią Jadzią z kantyny i wyszedł na zewnątrz by wsiąść do wnętrza pojazdu. Odprowadzały go podejrzliwe spojrzenia wojskowych znajdujących się w sztabie portu. Najbardziej złowrogie spojrzenie otrzymał od oficera dyżurnego jednostki, który wypisywał przepustkę do opuszczenia koszar i podróż.

Służbowe auto ruszyło, chorąży na przednim fotelu pasażera od razu zwrócił się do Ernesta.

– No chłopie, głośno się o tobie zrobiło, podobno samo szefostwo, najwyższa góra się o ciebie upomniała. Aż tak tutaj narozrabiałeś? – Kończąc pytanie, wskazał głową na okręty widoczne w oddali po drugiej stronie basenu portowego.

– Właściwie to nie wiem, tylko ująłem się za jednym z baniaków, który podciął sobie kable, przywaliłem z bańki, jednemu ze starych, potem zagroziłem mu, że doniosę na niego do politycznego.

– Ooo, nieźle. Niepozornie wyglądasz, nawet taki trochę wychudzony jesteś. Jak mu dałeś radę?

Ernest wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się.

– No dobra, masz, trzymaj! To dla ciebie. – Chorąży wręczył Ernestowi złożony w połowie druczek. – To jest wezwanie na dziesiątego, czyli jutro do komendy, do porucznika Popradki, podobno to jakiś krewny samego szefa służb WSW. Mają oko na ciebie.

Do Centrum w Ustce dotarli tego samego dnia, we wtorek dziewiątego lipca około południa.

Nazajutrz, za pięć dziewiąta, zgodnie z wezwaniem Ernest zameldował się u oficera dyżurnego w budynku komendy WSW, usytuowanego przy bocznej bramie wjazdowej do Centrum Szkolenia Specjalistów Morskich w Ustce¹¹.

Odebrał przepustkę i wszedł na pierwsze piętro, dokładnie o pełnej godzinie zapukał do metalowych drzwi z etykietką „Dział IV Analiz — Zarząd I Kontrwywiadu

¹¹ Przep. autora: wł. Centrum Szkolenia Specjalistów Mar. Woj.

wojskowego — Kancelaria tajna”, na framudze obok charakterystycznego kapsla na pieczętowanie woskowymi plombami zauważył przyklejoną plastikową wizytówkę „por. mgr Ryszard Popradka. Właściwie to spodziewał się tego wezwania, mógł się nawet domyślać przyczyny, jednak nie był pewien jego celu.

Nikomu nigdy nie wspominał o powiązaniach jego matki z towarzyszem generałem Czesławem, byłym szefem WSW, dobrym znajomym obecnego szefa, generała Popradki, a obecnie jego przełożonym na szczeblu resortu. Po prostu nie było powodu do chwalenia się, a tym bardziej do dumy. Nawet trochę czuł się zażenowany powiązaniami z władzą w systemie, z którym jako młody chłopak chciał zawsze walczyć, a przynajmniej się buntować.

– Wejść! – Usłyszał stłumiony głos.

Otworzył, przekroczył próg, natychmiast zamknął za sobą drzwi. Nie rozglądał się, ale i tak spostrzegł, że pomieszczenie było spore, przy oknie na wprost biurko, za którym przodem do wejścia siedział porucznik, w szaro-stalowym moro, charakterystycznym dla marynarki mundurze polowym.

Instynktownie spenetrował wzrokiem pomieszczenie, szukając innego wyjścia, po lewej stronie od wejścia, znajdowały się otwarte na oścież drzwi do drugiego pokoju, kątem okaz zauważył rząd metalowych i zabezpieczonych szaf na dokumenty. Zajmowały całe pomieszczenie.

Ernest stanął wyprostowany w postawie zasadniczej, wykonał regulaminowe skinienie głową i natychmiastowy meldunek.

– Obywatelu poruczniku, starszy marynarz Ernest Szulkin melduje się na wezwanie.

– Ooo, bardzo punktualni jesteście żołnierzu, to oznaka zdyscyplinowania. Spocznij! Możecie usiąść.

Wskazał drewniane krzesło przed biurkiem. Jedyne, co przyszło Ernestowi do głowy to, aby poprawić porucznika – „żadne żołnierzu, ani szeregowy” tylko „marynarzu”, bo tak według regulaminu należało się zwracać do żołnierzy służby zasadniczej w marynarce wojennej.

Jednak bez słowa Ernest skorzystał z zaproszenia, usiadł na wprost młodego oficera. Ocenił go na około sześć, może siedem lat starszego.

Z boku, na blacie biurka leżała tekturowa, szara teczka z wydrukowanym białym paskiem, czerwonym napisem „Akta”, w ramce na środku jakiś odręczny opis czarnym atramentem. Zawartość teczki w postaci kilku kartek zapisanych na maszynie i kilka odręcznym pismem leżała tuż przed oficerem, który najpierw bacznie obserwował Ernesta, przyglądając się uważnie jego ruchom i sposobowi bycia. Po

chwili skierował spojrzenie na plik kartek, poniosł na odległość czytania i chwilę studiował.

– Mamy mały kłopot z tobą. Mam polecenie z samej góry. Chyba domyślasz się.

Ernest bez słowa przytaknął skinieniem głowy, Popradka kontynuował.

– Te dokumenty, to twoja teczka, jest w nich połowa twojego dorosłego życia. Od czasów stanu wojennego. To twoja pierwsza wpadka, byłeś wtedy w technikum elektronicznym, w drugiej klasie, zatrzymany podczas ferii zimowych dwunastego lutego 1982 przez tajny patrol, podczas fotografowania obiektów wojskowych, to znaczy kolumny czołgów stacjonujących przed Nową Hutą. Jak to było, że dałeś się złapać? Opowiesz?

Ernest przez kilka sekund zastanawiał się, czy w ogóle rozmawiać z nim, czy może pozwolić sobie na takie zwierzenia, ale pomyślał, że nie ma co ściemniać i tak wszystko mają tutaj, a przynajmniej w ten sposób on ma szansę pokazać swoją opozycyjną naturę.

– Melduję obywatelu poruczniku, że ... – Nie skończył, gdyż oficer przerwał mu.

– Nie musisz meldować, porozmawiajmy normalnie, jak ludzie. – Uśmiechnął się, chciał, aby ten uśmiech wyglądał naturalnie, chciał trochę przerobić Ernesta, rozruszać, poznać go od tej prawdziwej strony, zdobyć jego zaufanie, by ten jak najwięcej wyrzucił z siebie, wszystko, co mogłoby okazać się przydatne, co mógłby później wykorzystać. Dokładnie tak jak go uczono podczas szkolenia z przeprowadzania przesłuchań w szkole oficerskiej służby kontrwywiadu.

– Obywatelu poruczniku, sprawa prosta, jak się ma miękkie serce, to trzeba mieć twardą dupę. Wysiadłem z tramwaju, z dwójki, dwa przystanki za zalewem zesławickim. Ruszyłem na piechotę w kierunku budynku administracji kombinatu, było ciemno, ale jeszcze około trzech godzin do godziny milicyjnej. Po kilku krokach napatoczyło się dwóch meneli. Poprosili o drobne na wino, musieli zobaczyć mój sprzęt, jak otwierałem plecak. Nie pilnowałem się ani nie rozglądałem, więc chyba szli za mną, nie jestem pewien. Za pętlą tramwajową jest lasek, więc pod jego osłoną zrobiłem kilkanaście zdjęć. Najpierw przed dyrekcją, potem na skrzyżowaniu. Leżał śnieg, były latarnie uliczne, więc pomimo ciemności, całkiem niezłe naświetlenie. Potem szedłem wzdłuż torów, widziałem w sumie kilkadziesiąt czołgów otaczających hutę szczelnym pierścieniem. Okrężną drogą wróciłem do pętli. Tam zauważyłem jednego z tych meneli, trzymał w ręku krótkofalówkę, gdy mnie zobaczył, spieszył się, bo go zaskoczyłem. Było za późno na ucieczkę, gdyż z tyłu usłyszałem biegnącego tego drugiego. Nawet nie uciekałem. Powalili mnie na glebę. Zabrali aparat i zawieźli

na posterunek w centrum. Dopiero rano rozpoczęło się przesłuchanie. Na drugi dzień już wypuścili, wcześniej jeszcze dostałem parę razy pałką przez dupsko i nogi.

– No i jak to się stało, że nie oskarżyli cię o szpiegostwo lub działalność wywrotową na rzecz reakcyjnych sił wrogich naszej ludowej ojczyźnie. – Na ustach porucznika pojawił się uśmiech, z lekką, delikatną ironią, jednak na tyle wyraźną, aby Ernest to zauważył.

Była to kolejna sztuczka oficera, by zjednać sobie chłopaka. Ten łatwo, wręcz naiwnie mu wierzył, lecz nie na tyle, aby stracić poczucie rzeczywistości. Wiedział, że władza to władza, a on jest tylko marnym trybikiem.

– Obywatel porucznik chyba się domyśla.

– Nie muszę się domyślać, tutaj zanotowano, że potraktowano to, jak wybryk nieuświadomionego politycznie, młodego człowieka bez odpowiedniego nadzoru nad kształtowaniem socjalistycznej świadomości. Słowem upiekło ci się.

Ernest zwyczajowo wrzucił ramionami.

– A tak naprawdę, to, dla kogo robiłeś te zdjęcia, ktoś ci kazał, zlecił, zapłacił? – Popradka poszedł na żywioł, licząc na coś nowego.

– Nikt mi nie kazał. Sam z siebie. W „Głosie Ameryki” radzili, aby dokumentować w miarę możliwości wszelkie działania wojskowych, tak na później, dla celów historycznych. To tyle i tylko tyle.

– A dlaczego słuchasz tego radia?

– Głównie, aby ćwiczyć angielski, nadają tam lekcje i dialogi. Każda okazja dobra, żeby się uczyć.

Teraz Ernest uśmiechnął się z lekkim przekąsem, również na tyle wyraźnym, aby jego rozmówca to zauważył.

– A czego jeszcze słuchasz? „Wolna Europa”? Przecież zachodnie, wrogie naszemu ustrojowi rozgłosnie są zagłuszane, ale chyba się domyślam. – Porucznik podniósł inną kartkę. – Tu jest napisane, że jesteś, byłeś członkiem klubu krótkofalowców przy LOK¹². Prawdziwym zapaleńcem.

– Tak, w klubie skonstruowałem specjalną aktywną antenę, która wyłapuje fale o określonej długości, potem razem z szefem klubu zmontowaliśmy specjalny elektroniczny filtr, odsiewający szumy i pozostawiający tylko sygnał rozgłosni. Było fajnie, niezła zabawa dużo się od niego nauczyłem, przydało się w szkole no i tutaj w tym syfie. Oprócz RWE najczęściej jednak odbieraliśmy BBC, bo tutaj nadawali w odcinkach powieść Orwella „Rok 1984”. – Zawahał się i dodał. – Ale nie

¹² Przyp. autora: Liga Obrony Kraju

spodziewałem się, że szef klubu będzie wam, bezpiece o mnie opowiadał. – Chwila namysłu, by dodać – czyli, jest, jak wy to nazywacie osobowym źródłem informacji? No tak, to oczywiście, w tej branży, to chyba nawet wskazane, aby mieć takiego.

Ponowny uśmiech oficera, z wyraźną kpina w spojrzeniu.

– No jak ci się podobało? Mam na myśli tę powieść.

– Bardzo ponura wizja naszej socjalistycznej przyszłości...

– No dobra, wystarczy!

Oficer zawahał się, ale zdecydował się jednak nie ciągnąć tego wątku, znał treść tej powieści.

– Jesteś teraz, jak to nazwałeś w „syfie”, ale niejako na własne życzenie się tu wpakowałeś. Dostałeś wilczy bilet na studia. A jesteś dosyć inteligentny, masz tutaj niezłą opinię – porucznik wskazał gestem głowy leżące papiery – znasz języki, angielski, francuski. To dosyć rzadkie. Gdzie się ich nauczyłeś, bo tutaj nie napisali?

– Od podstawówki matka wysyłała mnie na kurs angielskiego w bibliotece publicznej. A francuski, no cóż, zawadzałem w jej karierze, jeśli tak można nazwać to, co robiła, więc zostawiała mnie często pod opieką niani, to ona mnie nauczyła, mówiła do mnie w dwóch językach.

– Rozumiem... Ale zachciało ci się znowu poszaleć, bo tuż przed maturą miałeś kolejny wybryk niesforenego dzieciaka. I znowu ci się upiekło, ciesz się, że cię dopuścili do matury.

– Cieszę się i byłem ogromnie wdzięczny władzy ludowej, za taką dużą dozę wyrozumiałości w stosunku do mojej niedojrzałej młodzieńczej świadomości politycznej, no i również za ogromne zaufanie, jakim mnie obdarzono na przyszłość, bo obiecałem poprawę, dlatego znowu mnie wypuszczono. Kilka pał przez dupsko i na tym się skończyło.

– Hmm... Mógłbyś wyjść na ludzi. Może za przykładem swojego ojca, nie zastanawiałeś się, że to może jednak dzięki niemu, dzięki swojemu nazwisku, teraz tak łatwo wychodzisz z tych politycznych opresji

Ernest na słowa o ojcu zaniepokoił się, poczerwieniał, serce pod wpływem napięcia emocjonalnego przyspieszyło rytm. Spojrzał stanowczo na oficera. W tym spojrzeniu, oprócz stanowczości było jeszcze coś, co miało znaczyć jak proste, wymowne „odpierdol się!”. Opanował się i spokojnie odpowiedział.

– Tak, oprócz wdzięczności do władzy, to jeszcze okazałem skruczę i wdzięczność mojej matce oraz jej znajomościom.

– Trochę kpisz, cwaniaczysz! Opowiesz, jak było naprawdę?

– Teraz, gdy sobie o tym pomyślę, to wiem, że to wyglądało głupio i dziecinnie, ale my podchodziliśmy do tego bardzo poważnie. To było nasze życiowe przestanie.

– Wasze?

– Tak, razem z dwoma kolesiami z klasy, założyliśmy organizację.

– Ooo, ciekawe, w tych papierach nie ma nic o tym. – Porucznik poczuł swoją szansę. – Jaką organizację?

– Nazwaliśmy ją „Związek Wolnych Polaków”.

– Założyliście trzyosobowy związek? – Popradka wydawał się wyraźnie rozbawiony.

– Tak, teraz wiem, że to raczej śmieszne. W skrócie ZWP, a lubię rysować, więc zaprojektowałem nawet znak graficzny, taka litera „P” stylizowana jak kotwica z „Polski Walczącej”, czyli dwie litery „W” i „P” w jednym, obok „Z”.

– Mieliśmy nawet patrona, Walerian Łukasiński był naszym idolem i wzorem romantycznego poświęcenia się dla wolności.

– Dlaczego akurat tego, o ile pamiętam, to był powiązany z masonerią, czy coś takiego?

– Właściwie był założycielem „Wolnomularstwa Narodowego”, czytaliśmy jego biografię, to był wzór idealisty, bez oglądania się na prywatne korzyści. To nie to samo, co współcześni działacze partii socjalistycznej.

– Rozumiem cię, ale nie idźmy w tę dyskusję.

– Zaprojektowałem też ulotkę agitacyjną, bo na początku kwietnia Wolna Europa nadała audycję o zbliżającej się rocznicy zbrodni katyńskiej. Kolega miał dojście do ręcznego powielacza, wydrukowaliśmy dwie setki tych agitek.

– Rozumiem, że to przez te ulotki wpadłeś, podczas ich kolportowania. Na dwa tygodnie przed maturą. A dlaczego tylko ty?

– No tak, tylko ja. Bo jeden z kolegów przestraszył się i stwierdził, że nie będzie rozklejał ulotek na mieście. Wtedy wykluczaliśmy go ze związku. Ten drugi zdołał się w porę schować, ja znowu nawet nie uciekałem. Teraz myślę, że to chyba specjalnie, chyba chciałem, aby to tak było. Na złość wszystkim.

– Jak nazywali się tamci koledzy?

Ernest zorientował się, że pytanie zabrzmiało dosyć poważnie, zreflektował się, że chyba stracił czujność i zbyt otwiera przed porucznikiem. Wyprostował sylwetkę na krześle, nabrał głęboki oddech, by zyskać czas na przemyślenie odpowiedzi.

– Obywatelu poruczniku, niestety nie powiem, już trochę spowaźniałem, wyrobiłem się. Możecie sprawdzić wszystkich z mojej klasy. Większość z nich chętnie doniesie na mnie.

– Tak uważasz?

– Po prostu nie lubili mnie. Większość nawet bardzo.

– Czyżby? Jak to możliwe? Z tych papierów wyłania się inna postać.

– To proste, byłem kujonem, byłem najlepszy z nich. Przecież każdy, kto przypomina nauczycielce od matmy o sprawdzianie, nie będzie faworytem tej durnej, tępej większości.

– Rzeczywiście, racja. Zgadza się, tutaj mam notatkę, zdolny, dobre oceny, ale niepokorny politycznie, element niepewny. Warunkowo dopuszczony do matury, najlepsze oceny z egzaminu w roczniku. Tylko, co z tego, skoro zamiast na studiach wylądowałeś w wojsku. W skrócie to przez te ulotki ta warunkowa matura i blokada studiów.

– Tak, zawdzięczam to również koneksjom mojej matki, kolejny już raz. Szkoda tylko, że wylądowałem na samym końcu świata. Chociaż, patrząc z drugiej strony, to nawet dobrze, że tak się stało. Zobaczyłem, od samego dołu, na czym ten system jest wsparty.

– Ten system? O co ci właściwie chodzi?

Ernest urwał, bo zrozumiał, że trochę się zagalopował.

– Przepraszam obywatelu poruczniku, nie powinienem. Właściwie to wciąż nie jestem pewien, w jakim celu zostałem wezwany.

– Oczywiście. No dobra, dajmy spokój już tobie, byłem ciekaw młodego człowieka z taką bogatą kartoteką. Ta afera związana jest ze zgłoszeniem do sztabu floty w Gdyni. Chodzi o tego chłopaka, który próbował popełnić samobójstwo. W raporcie pojawiło się twoje nazwisko. Oficer analizujący sprawę skonfrontował ten raport z dowódcą okrętu, na którym służyłeś, ogólnie miałeś bardzo dobrą opinię, ale ten wspominał o jakimś zajściu ze starszym stażem żołnierzem. Dodatkowy raport od oficera politycznego poskutkował tym, że przysłano twoją teczkę osobową. No i się zaczęło. Sam szef, na prośbę swojego szefa rozkazał cię stamtąd zabrać.

Jedyne, co zajęło myśli Ernesta, to rozkminka słów oficera, kolejny raz już poprawiał go w myślach „marynarzem, nie żołnierzem”, ale tylko krótko skwitował:

– No i znowu jestem wdzięczny władzy ludowej i temu systemowi oraz wszelkim znajomościom, że zdecydowano się mnie przenieść.

– Znowu kpisz i cwaniaczysz! Opowiesz o tym chłopaku?

– Obywatelu poruczniku, on był, to znaczy jest z mojego rocznika. Artylerzysta podpadł dowódcy okrętu podczas ćwiczeń z flotą radziecką z Bałtyjska. Próbował być ambitny i pokazać się, ale wyszło do dupy, pociski eksplodowały na plaży, zamiast obok wyłowionej miny. Kadra podpuściła starych marynarzy z fali, a ci uwzięli się na niego. Nie wytrzymał, poddał się. W środku nocy, po skończonej pracy w zęzie poszedłem do łazienki trochę się umyć, tam go znalazłem leżącego na gretingach. Na szczęście nie było za późno. Zawiązałem mu przeguby skarpetkami. To tyle. Potem jeden ze starych, jakiś „pólmózg”, wciąż przejęty jak młody rekrut, miał mi chyba za złe, że go odratowałem. Próbował się wyżywiać na mnie, ja również nie wytrzymałem i wałęsałem go z główki.

– Ty? Nie wyglądasz na takiego, co może przywalić. Raczej nie jesteś z tych silnych i bojowych.

– Z główki akurat potrafię, to moja metoda, dziadek mnie nauczył. – Ernest uśmiechnął się, sprawdził jeszcze, czy oficer również złapał ten żart.

– Jak to?

– Chodzi o to, że przez większą część podstawówki, był taki jeden dryblas, któremu zawsze włączała się agresja na mój widok. Nie mógł spokojnie obok mnie przejść, bez kuksańca w nery, albo w brzuch, czasem walił prosto w twarz z liścia, jak gdyby nigdy nic. Byłem wtedy najniższy i bardzo drobny, a on o dwie głowy wyższy, mimo że o rok młodszy. No i obrywałem te baty i kopniaki, aż dziadek pokazał mi trzy sztuczki, jedna z nich to wałnięcie z główki prosto w piersi, łatwe i dobrze działa na wyższych.

– No i co wtedy, zadziałało?

– Nie miałem okazji wypróbować, bo podstawówka się skończyła, a on chyba został jeszcze rok dłużej, taki mało zdolny był. Ale pamiętam, jak kiedyś wracaliśmy paczką z imprezy urodzinowej, to była moja osiemnastka. Nie wiedzieć, jakim przypadkiem stał z dwójką kolesi przed kamienicą, wtedy zagroził nam drogę. Najpierw zaczepił mojego kolegę, potem podszedł do mnie. Przyjebałem mu z główki, że padł na glebę, ledwo oddychając. Jak spojrzałem na tamtych dwóch, to nawiali bez słowa, zostawiając go leżącego i wciąż próbującego łapać powietrze. Może złamałem mu żebra. Wtedy powiedziałem, mu „podstawówka już się skończyła, a ja trochę urosłem, więc odpierdol się!”.

Skinął tylko ledwo głową na zgodę, no i nastał już spokój na rejonie.

– No nieźle, i to samo musiałeś zrobić temu staremu żołnierzowi na okręcie?

– Właściwie to marynarzowi – Ernest nie wytrzymał już, musiał poprawić Popradkę – ale po tym to już miałem przejebane u wszystkich. Mój los aż do wczoraj

był niepewny. W sumie to dobrze, że mnie tutaj wezwano do Centrum, może przydam się, jako instruktor.

– No proszę! Jednak można z pokorą i bez ustawiania się ponad wszystkimi, bo ma się plecy na górze? Ale dobrze już. Otóż ten system, którego tak nie lubisz, znowu wyciąga do ciebie rękę. Mamy ofertę pracy, ale nie tutaj w Centrum, tylko u nas w służbach WSW.

– Ofertę? Jaką?

– W jednostce nasłuchu radiowego zwolniło się miejsce. Zostaniesz zawodowym żołnierzem, jesteś po maturze, więc będziesz awansowany do najniższego stopnia podoficerskiego. Z twoimi kwalifikacjami i wiedzą w dziedzinie radiotechniki będziesz się świetnie nadawał, dodatkowo jesteś bystry, niegłupi. Zetkniesz się z naprawą nowoczesną elektroniką, nabierzesz doświadczenia, będziesz miał spore możliwości do nauki.

– Co to za jednostka?

– W Skierniewicach. Batalion radioliniowy, jednostka radio-kontrwywiadu, tak zwany wydział piąty, zajmują się nasłuchem i wykrywaniem obcych nadajników. Poza tym są tam systemy anten i nadajniki do zagłuszania radiostacji wrogich naszej ojczyźnie. Również i twoich ulubionych rozgłośni. – Porucznik uśmiechnął się, sprawdzając reakcję Ernesta.

Zauważył, że przyjął ofertę pozytywnie, spodobała mu się, najbardziej słowo klucz „kontrwywiad” zrobiło na nim wrażenie. Zabrzmiało poważnie i rzucało wyzwanie jego młodzieńczej ambicji.

Chłopak na chwilę zapomniał o systemie zniewolenia, bo odpowiedział z pełnym zdecydowaniem w głosie.

– Brzmi interesująco.

– O tak! Po jakimś czasie, jak się sprawdzisz, pewnie zostaniesz skierowany na studia do szkoły oficerskiej, będziesz mógł wybrać, może łączność albo w służbach informacyjnych. Brzmi ciekawie?

– Tak, to interesujące! – Ernest nie ukrywał zachwyty podszytego ekscytacją.

– Ta szkoła to oczywiście, jeśli będziesz miał dobrą opinię od oficera politycznego, co oznacza, że raczej będziesz musiał się pogodzić z tym systemem. Dasz radę?

– Widzę, że to dobra metoda na mnie. – Ernest cały czas uśmiechał się, cały w emocjach. – Na pewno dam radę!

– Czyli przyjmujesz ofertę?

Jeszcze raz spojrzął na Ernesta, by upewnić się, co do jego decyzji.

– Przyjdź jutro, podpiszesz umowę o pracę, dzisiaj jeszcze dam dyspozycję do personalnego. Potem przygotowania. Za dwa lub trzy dni w drogę.

Z wielkim zadowoleniem przystał Ernest na propozycję porucznika z WSW, spodobała mu się oferta pracy. Była zgodna jego zainteresowaniom, a zdobyta w szkole wiedza będzie mogła być wykorzystana. Odnajdował to, jako wspaniałą okazję do zdobycia nowych doświadczeń. Jednocześnie formacja, w której miał pracować, brzmiała bardzo zachęcająco, dumnie, ale i dosyć tajemniczo. Z całą pewnością niosła ze sobą pewien ładunek emocji, na który on, młody człowiek pokusił się bez mrugnienia okiem. Zapowiadało się na fascynującą przygodę, a romantyzm służby na okręcie wojennym zastąpiła ekscytacja służbą w kontrwywiadzie, cokolwiek miałyby to znaczyć. Jednak w najśmielszych wizjach nie przewidywał, że los i życie pisze dla niego inny scenariusz, nie spodziewał się, że wraz z końcem tego roku, doświadczy nagłego i niespodziewanego zwrotu wydarzeń.

Był piątnasty dzień lipca 1985 roku, w poniedziałkowe południe biały, duży fiat z oznaczeniem TAXI na dachu zatrzymał się przed czerwono-białym szlabanem zagradzającym wjazd na leśną szutrową drogę, był o sto metrów od głównej szosy ze Skierniewic w kierunku Sochaczewa. Kierowca, przyjmując zapłatę od Ernesta, ze zdziwieniem popatrzył na niego, bez słowa pokręcił głową, nie rozumiejąc jego zamiarów. Ten zabrał z tylnego siedzenia swój szary worek marynarski ze srebrnym haftem liter M i W rozdzielonych złotą kotwicą, po czym zatraskując, drzwi rzucił uprzejmie „do widzenia”. Wiedział, że jest na dobrej drodze, czekało go jeszcze siedem kilometrów do pokonania pieszo przez Puszcę Bolimowską.

Po godzinie szybkiego marszu zatrzymał się przed usytuowaną w środku lasu żelazną bramą, na podwójnych wrotach widniały inicjały LWP¹³. Błyszcząca, zielona tabliczka z białym napisem „JW 4159”¹⁴ zapewniała go, że dobrze trafił.

Ernest dotarł do miasta pociągami ze stolicy, przed dworcem próbował zorientować się, jak ma dotrzeć do jednostki w środku lasu.

Ubrany był w granatowy, letni, wyjściowy mundur podoficera marynarki z naszywkami stopnia „bosmanmat”¹⁵ na mankietach, na lewym ramieniu odznaczała się czarna, filcowa, okrągła naszywka z czerwoną kotwicą i trzema błyskawicami po jej obu stronach, oznaczająca specjalistę radiotelegrafii. Był jak osobliwość, zjawisko, obrazek dosyć nietypowy, nawet zaskakujący dla tego regionu kraju. Ludzie

¹³ Przyp. autora: *Ludowe Wojsko Polskie*

¹⁴ Przyp. autora: *Jednostka Wojskowa nr 4159 – Batalion Radioliniowo-Kablowy Służby Kontrwywiadu w Skierniewicach*

¹⁵ Przyp. autora: *odpow. plutonowy*

uśmiechali się na jego widok, gdy pytał o lokalizację miejsca, którą miał zaznaczoną na niewielkiej mapce. Byli uprzejmi, jednak nikt nie słyszał o jednostce w tym lesie, zaś o koszarach jednostki 3011 w centrum, przy ulicy Batorego to i owszem.

Pracownica informacji w okienku obok kas na dworcu autobusowym popatrzyła na niego ze zdziwieniem – „przecież tam nic nie ma, tylko las, po drugiej stronie miasta to tak, jest poligon i jakieś wojsko, ale pod Radziwiłłowem to raczej nie ma”. Nie było innego wyjścia jak tylko skorzystać z taksówki, kierując szofera według wskazówek na mapie.

Bramę jednostki zobaczył w ostatniej chwili, wyłoniła się nagle zza drzew na szerokim łuku leśnej drogi, która kończyła się właśnie w tym miejscu. Błaznana powierzchnia wrót odcinała się ciemnoszarą barwą od jasnego muru z betonowych paneli, odchodzącego na dwie strony od niej, by po kilkunastu metrach zniknąć pomiędzy drzewami i krzewami w lesie. Mur otaczał duży obszar leśnego terenu. Poprzez stalowe pręty w górnej części bramy, zobaczył dwie budki wartownicze i dwóch żołnierzy w typowych ciemnozielonych mundurach polowych pełniących służbę. W oczy rzucały się skórzane, białe pasy, z podobną szelką przez lewe ramię. Białe szerokie skórzane mankiety, na głowach zielone hełmy z białymi inicjałami służby wewnętrznej. Na plecach AK-47 z drewnianą kolbą. Widok był okazały, budzili respekt, byli widoczni z daleka, by nikt nie miał wątpliwości, że obiekt jest pod ścisłą ochroną.

Ernest podszedł do bramy, okazując swoją książeczkę wojskową i kartę przydziału do jednostki w drugiej ręce. Obaj wartownicy zastygli w bezruchu zszokowani niecodziennym widokiem.

– Dzień dobry. Jestem nowym pracownikiem.

Jakkolwiek wartownicy byli czujni, to jednak widok Ernesta w mundurze marynarki, wprowadził ich w osłupienie. Jeden z nich, natychmiast złapał za słuchawkę aparatu telefonicznego w budce, by zgłosić do wartowni jego przybycie.

Przez kilka minut milczeli, przypatrując się sobie wzajemnie. Gdy usłyszeli warkot silnika, z bocznej drogi wyłoniła się ciemna, zielona, charakterystyczna terenówka marki UAZ¹⁶ produkcji radzieckiej.

Dowódca warty, wysoki kapral, w asyście dwóch innych żołnierzy, sprawdził jeszcze raz dokumenty przybysza, po czym nakazał otwarcie wrót. Ernestowi ukazała się asfaltowa, szeroka jezdnia wiodąca pomiędzy drzewami w głąb obiektu.

¹⁶ *Przyp. autora: pot. Łazik – UAZ 469, Uljanowski Awtomobilnyj Zawod*

– Powinieneś się postarać o firanki i zasłony. Wszystko u ciebie widać z zewnątrz. Często cię obserwuję. Nie podglądam, tylko obserwuję. – Uśmiechnęła się, zgniatając kolejny niedopałek w popielnicze.

Był to ten uśmiech, czarowny i miły, dziewczęcy, jak go nazywał, który zachowywała wyłącznie dla niego, wymieniając z nim skryte i urywane spojrzenia. To w kantynie, to przypadkiem na spacerze, to podczas obiadu w stołówce. Nie zdawał sobie sprawy, jak łatwo wpadał w sidła tego uśmiechu. Z ekscytacją i podniecią myślał o nim, gdy tylko Katarina pojawiała się w zasięgu wzroku.

Za każdym razem czekał na niego. A teraz miał go tylko dla siebie, na wyłączność, nie był skrywany, ani ukradkowy, ale w całej okazałości.

Ernest odezwał się pierwszy.

– Ryzykowałam pani, bo mogłem wejść z moim kolegą, porucznikiem Jabłońskim.

– Obserwowałam cię przez okno, widziałam, że wracałeś sam.

– No tak, rzeczywiście. – Odpowiedział z wyraźną niepewnością, nie wiedział, jak się ma zachować. Nigdy nie był w takiej sytuacji. Nigdy nie był sam na sam z kobietą, pomijając drobne incydenty z dziewczętami w latach szkolnych.

Ta sytuacja teraz przerastała go całkowicie. Cekał więc na jej ruch.

Wtedy powstała, zbliżała się do niego powolnymi krokami, rozwiązując sznurkowy pasek sukienki, potem rozpięła guziki na przedzie. Gdy zatrzymała się przed nim, jasna sukienka zsunęła się z jej ramion na podłogę. Została w samej halce.

Ernest skojarzył sobie scenę z filmu, sprzed dwóch dni, gdy podobnie uczyniła Miriam grana przez słynną aktorkę.

Stała przed nim w całej okazałości swojego ciała, prześwitującego przez delikatną, jedwabistą materię halki, połyskującej w świetle zewnętrznych lamp.

Była szczupłą, smukłą, nieznacznie niższą.

Ujął rękoma jej głowę za skronie, poczuł aksamit gładko uczesanych, w tym świetle rdzawo połyskujących włosów, poczuł, że ręce mu drżą, że właściwie cały dży z podniecenia. Kobieta również poczuła jego przeszywające go dreszcze, wtedy pochwyciła jego prawą dłoń, delikatnie ścisnęła i opłótła swoimi palcami. Drugą ręką nieznacznie odchyliła brzeg halki na wysokości ud. Wsunęła pod spód dłoń chłopaka, nie miała bielizny, bo natychmiast poczuł dotyk włosów łonowych. Wtedy przesunęła jego wyprostowany palec niżej, poczuł wilgoć łona, gdy delikatnie, ale zdecydowanie zagłębiła go w siebie. Przymknęła oczy, odrzuciła głowę w tył z głębokim, energicznym westchnięciem, jednocześnie delikatnie ścisnęła uda, zatrzymując między nimi dłoń chłopaka. Po chwili uwolniła ją, by zbliżyć zwilżone palce, którymi przed chwilą dawała sobie rozkosz, do jego warg, muskając je kilka razy delikatnymi i

czułymi ruchami. Zaraz też, sama je objęła swoimi ustami, poczuł pod opuszkami miękkość języka i podobne ciepło.

Ernest pozostawał bezwładny, całkowicie poddany woli kobiety. Podniecenie było tak silne, że bez najmniejszego oporu wykonywał wszystko, czego od niego oczekiwała. Uniósł twarz, spoglądając w górę, lecz zaraz przymknął oczy, gdy rozpięła pasek od spodni, które natychmiast zsunęła w dół. Po chwili oboje stali nadzy przyciśnięci do siebie, w objęciach splecionych ramion, z ustami złączonymi w łapczywym, zachłannym pocałunku.

Została w jego pokoju przez następne dwie godziny. Po wszystkim, gdy leżeli na kanapie przytuleni, Ernest wciąż oszołomiony, jakby niepewny tego, co zaszło, zapytał:

– Czy twój mąż wie, gdzie jesteś? – Delikatnie muskał opuszkami palców sutki jej piersi, gdy ona z głową wspartą na jego ramieniu patrzyła w górę, paląc papierosa.

– Mój mąż spał się razem z Zajcewem. Prawie godzinę przed przyjściem tutaj odprowadziłam go do mieszkania. Będzie spał do rana. – Odpowiedziała, wydychając dym, cały czas wpatrzona w sufit.

Zbliżała się północ, gdy wyszła z jego kwatery.

Od tego wieczoru Ernest oczekiwał dni, w których towarzysz kapitan Golicyn zasypiał pijany w swoim mieszkaniu, bo wtedy z pewnością równą, że słońce zajdzie, odwiedzała go Katarina. Nie było regularności, ale spotykali się średnio raz na dwa tygodnie.

Dla Ernesta to były pierwsze poważne przeżycia i doświadczenia w dziedzinie relacji damsko-męskich, nie licząc nieśmiałych macanek i kradzionych dziewczynom całusów na szkolnych imprezkach lub prywatkach.

Łatwo uległ fascynacji piękną, dojrzałą i zdecydowaną kobietą, jeszcze łatwiej uległ jej zainteresowaniu nim. Podobało mu się i imponowało mu to, nie mówiąc o zdobywanym doświadczeniu w życiu intymnym. Ponadto skrywany romans dostarczał mu solidną dawkę emocji, w rutynowej, żmudnej i monotonnej pracy w jednostce.

W końcu ta niezwykła dla Ernesta sytuacja, ten skrywany przed światem romans miał wydać się, bo w takim małym zamkniętym, hermetycznym kręgu ludzi, niecodzienne, nadzwyczajne sytuacje zawsze, prędzej czy później wyjdą na jaw.

Kobieta miała osiągnąć swój cel, którym był wyjazd z tej pustelni i decyzja o rozwodzie, lecz chłopak raczej nie brał pod uwagę ukrytych zamierzeń swojej nowej przyjaciółki. Żył z dnia na dzień, odurzony w uniesieniu, w niecierpliwym oczekiwaniu na kolejne pijaństwo Golicyna i Zajcewa. Pozostawał zauroczony jej

urodą, jej ciałem, jej seksualnością, dlatego nie dostrzegał niczego podejrzanego w zachowaniu Katariny. Jego brak doświadczenia życiowego, zasłaniał mu horyzont, prawidłowy osąd sytuacji, konsekwencji, oraz przyszłych zdarzeń.

Nie dostrzegał, nie przeczuwał nadchodzącej burzy.

Początkowa euforia i zauroczenie miejscem ustępowała zmęczeniu, coraz częściej ogarniało go znużenie monotonią i rutyną dyżurów. Nadal chwalił sobie możliwość poznawania nowości technicznych i rozwijania się. Nie miał poczucia zmarnowanego czasu, wręcz przeciwnie, wiele się nauczył w zakresie gromadzenia informacji, analizy, wnioskowania ze zbioru pozornie niespójnych, jednostkowych danych.

Dużo czytał, najwięcej Conrada, a spotkania w kantynie dawały mu możliwość, obcowania z nieprzeciętnie inteligentnymi ludźmi. Jednak coraz częściej też odczuwał wrazenie, że się dusi.

Pomimo tego, że miał zapewnione dobre i godne warunki bytowe, to jednak aura tajemnic, życie w ciągłej obserwacji i świadomości bycia podsłuchiwanym, ograniczenie poruszania się, mieszkanie w towarzystwie tych samych ludzi, sprawiało, że to z pozoru wspańiałe miejsce zaczynało mu się jawić, jako złota klatka.

Docierało do niego również, że mija już piętnaście miesięcy, odkąd przebywa w odosobnieniu, w objęciach Ludowego Wojska Polskiego.

Ten święty spokój, z którego cieszył się na początku, zaczynał go przytłaczać, zaczynało mu brakować szerokiego świata, potrzebował odpoczynku, choćby krótkiego urlopu, wyjazdu. Tylko, dokąd? Kto za nim tęsknił? Kto na niego czekał? Z kim on chciałby się spotkać w tym szerokim świecie? Przecież nie miał tam żadnych przyjaciół, nie miał nikogo, również za nikim nie tęsknił.

Ta świadomość przytłaczała go równie mocno, co obezwładniające zmęczenie. To z tego powodu spotkania z Katariną były dla niego tak atrakcyjne, pomimo ryzyka, pomimo możliwości potencjalnie przykrych skutków. Ztracał się w tej relacji, mentalnie uzależniał, oddawał jej swoją duszę.

W trzeciej dekadzie grudnia tuż przed Bożym Narodzeniem, w apogeum ich miłosnych uniesień nastąpił początek nieszczęśliwych zdarzeń, reakcja łańcuchowa przyczyn i następstw.

Był piątkowy wieczór, po skończonym dyżurze w bunkrze aparatury zagłuszającej, Ernest przebywał w pokoju narad. Przy dużym stole konferencyjnym wypełniał kartę meldunku po pracy.

Skupiony nad swoim zadaniem nie usłyszał ani nie zauważył momentu wejścia kapitana Golicyna do pokoju. Przybysz stanął naprzeciwko po drugiej stronie stołu, przez kilkanaście sekund obserwował młodego. Gdy ten zorientował się, podniósł głowę, to co zobaczył, przeraziło go. Rozgniewana twarz kapitana, lekko chwiejna sylwetka, niewątpliwie po spożyciu, wzrok również mętny, ale zięjący nienawiścią.

Dzisiaj to miał być ten wieczór, gdy Golicyn i Zajcew znowu oddadzą się w objęcia trunku „*Stolicznaja*”, którego świeży zapas dotarł do nich przed świętami, a Katarina złoży mu wyczekiwaną wizytę.

– Dobry wieczór towarzyszu kapitanie – Ernest odezwał się pierwszy, dyscyplina nakazywała mu podnieść się z krzesła. Powstał i odczekał chwilę, gdy oficer nic nie odpowiedział, postanowił zagłuszyć nieprzyjemną ciszę niepewności.

– Przecież, przedwczoraj doręczyłem już swój raport.

– Tak, jak zwykle „*nic ważnego nie zauważyłem, ani nic, co by mogłoby być uznane za groźne lub na szkodę bratniej armii ZSRR nie usłyszałem*”. Czy ty masz mnie za idiotę?

Cisza.

– No masz mnie za idiotę? Odpowiedz! – Wrzasnął. Tym razem głośno i z ogromnym ładunkiem agresji.

W oszklonych drzwiach wejściowych do pokoju narad pojawił się cień się zaciekawionej głowy podoficera, który rozpoczynał swoją służbę.

– Nie, towarzyszu kapitanie.

– To, dlaczego, kurwa, ruchasz mi żonę? – Ponownie agresja w wykrzyczanym pytaniu.

Jeszcze głębsza cisza.

– Dlaczego pod moją nieobecność przychodzisz i w moim mieszkaniu ruchasz mi żonę? – Tym razem kapitan powiedział stonowanym głosem, powoli, ale dosadnie.

– To nie tak!

– A jak? No, kurwa, jak? – Ponowny wrzask.

– Przysięgam, że nigdy nie byłem w waszym mieszkaniu.

– Przysięgasz? Ale krzywoprzysięgasz! Co to jest? – Wykrzykując, rzucił na stół breloczek w kształcie kotwicy przyczepiony do plastikowej oprawki z przepustką oraz czarny beret z podpisem „Ernest Sz.” na wewnętrznej stronie.

– To znalazłem pod łóżkiem w mojej sypialni, dzisiaj rano, gdy powróciłem po śniadaniu do mieszkania. Musiałeś się bardzo śpieszyć, że to zgubiłeś, chyba tutaj na służbę.

Cisza.

Ernest zaniemówił, przez chwilę wpatrywał się w swoje rzeczy leżące na blacie stołu. Rozważał sytuację i możliwe okoliczności, olśniło go. Podniósł wzrok i śmiałym głosem skwitował zarzut.

– Tak, to moje rzeczy. Przepustkę straciłem, nie wiem gdzie, parę dni temu, podobnie jak beret. Tu mam nową, duplikat. – Wydobyl z górnej kieszeni moro plastikową oprawkę z dokumentem, by mignąć przed oczami Golicyna. – Przecież od rana nie wyrobiłbym nowej.

– Chcesz mi powiedzieć, że przez jakiś czas to leżało pod łóżkiem? A ja wcześniej nie zauważyłem?

– Nie! Chcę powiedzieć, że nigdy nie byłem w waszym mieszkaniu, więc nigdy tam nie mogłem tego zgubić.

Odpowiedź zabrzmiała równie stanowczo, co bezczelnie.

Kapitan musiał powstrzymać się na chwilę z oskarżeniami, moment zaskoczenia minął, jego atak osłabł, chciał zebrać myśli.

Kolejny moment ciszy, przez szybę w drzwiach zaglądała do wnętrza już druga zaciekawiona postać.

– To skąd się to tam wzięło?

– Nie wiem. A kto ma dostęp jeszcze do waszego mieszkania? Wasza żona?

– Kpisz sobie?

Ernest pochylił się, by podnieść utracone rzeczy, najbardziej zależało mu na pamiątkowej kotwicy. Sam nie wiedział, dlaczego odczuwał do tego przedmiotu taki sentyment, przecież to tylko kilka miesięcy spędzonych w tej przeklętej bazie, osiem cholernych miesięcy. A jednak. Łapczywie ścisnął ją w dłoni, jakby obawiał się znowu ją zgubić, wciąż przyglądając się przedmiotowi w zaciśniętej pięści, zaryzykował szczerą odpowiedź. Nie spodziewał się, że wypadki potoczą się błyskawicznie.

– Już przysięgłem, że nigdy nie byłem w waszym mieszkaniu. Dla polskiego żołnierza jeden raz wystarczy, nie będę powtarzał. Jednak prawdą jest, że zakochałem się w Katarinie Michaiłownie, cały czas żyłem tą nadzieją, że to miłość, lecz ta miłość chyba mnie zaślepiła.

– Co ty pierdolisz, jaka miłość? Czyli jednak ruchasz moją żonę?

Chłopak schował przepustkę i beret do kieszeni, kotwiczkę nadal zachłannie ścisnął w dłoni.

Podniósł wzrok, by z ostrym nienawistnym spojrzeniem prosto w oczy oficera, wycedzić powoli i dosadnie.

– To raczej ona mnie ruchała, tak samo, jak was. Jeśli rozumiecie podwójne znaczenie tego słowa.

Oczy Ernesta wciąż utkwione w jego twarzy zarejestrowały, jak kapitan pobladł, a wściekłość jeszcze bardziej wypełniała go. Chłopak zdawał się być opanowany, czujny, gotowy na cios, który nie następował ze względu na barierę rozdzielającego ich stołu.

– *Wot swolocz!* Ty zdrajco! *Ubiju tjebia kak sobaku!* – wysyczał z pasją Golicyn, w jego oczach wściekłość zamieniła się a furię, żądzę mordu, jednocześnie w jego ręku pojawił się czarny pistolet wydobyty kabury przy pasie. – Jak dobrze, że jeszcze nie zdałem broni po służbie! – Wtedy przeładował, energicznie przesuwając napinacz zamka.

Chłopak zorientował się, że to nie żarty, jego czujność przydała się, w tym samym momencie poderwał krzesło i rzucił przed siebie, w stronę kapitana. To go uratowało. Natychmiast też, jednym susem dopadł drzwi, które rozwarły się na boki pod naporem jego ciała. Pośliznął się, upadł na ceglaną posadzkę, wtedy rozległ się strzał, jednocześnie świt kuli ponad głową i upadający tynk z sufitu korytarza kilka metrów dalej. Wahadłowe drzwi zamknęły się, na podłodze, po obu stronach framugi leżeli ogluszeni jego dwaj koledzy, zmiennicy w dyżurze, podglądający zajście przez szybę.

Ernest podniósł się i rzucił biegiem wzdłuż długiego korytarza, wtedy skrzydła uchyliły się ponownie, uderzając w leżących. Kroki kapitana zadudniły echem w korytarzu.

Kolejny strzał i tynk na ścianie trochę dalej za uciekającym chłopakiem, znowu strzał i kolejna dziura w ścianie tuż nad głową Ernesta, dokładnie w momencie, gdy pośliznął się na zakręcie i upadł przy wlocie bocznego korytarza w kierunku pomieszczeń nadzoru aparatury radiowej.

Wtedy zauważył na jego końcu, w oddaleniu kilku metrów uchylone metalowe, ryglowane od wewnątrz drzwi do pomieszczenia rozdzielni zasilania i transformatorów. Zrozumiał, że do wyjścia z bunkra na końcu korytarza nie zdoła dobiec, a ta rozdzielnia to jego jedyna szansa na przeczekanie szалу ścigającego go oficera.

Powstając, usłyszał narastający dźwięk kroków zbliżającego kapitana. Był już w środku pomieszczenia, gdy skulony przesunął, ciężkie skrzydło, by je zamknąć.

Kolejne trzy strzały i świst kul w zwężającej się szczelinie wejściowej, kula z czwartego strzału odbiła się rykoszetem od stalowej powłoki.

Zaryglował.

Odetchnął, był chwilowo bezpieczny. Osunął się na posadzkę, opierając się o drzwi. Usłyszał od zewnątrz dudniący dźwięk kilkukrotnego uderzenia ręką pistoletu w odrzwia.

Wtedy nastała cisza, delikatnie wypełniona jednostajnym szumem i brzęczeniem transformatorów oraz elektroniki w szafach, od czasu do czasu przerywana jego szybkim, krótkim, ale głębokim oddechem z emocji i strachu. Otworzył ściśniętą dłoń, pociekła krew z ran, w które wbiły się metalowe haczyki trzymanej kotwiczki. Na serdecznym placu spore rozcięcie – „najwyżej będzie blizna, nic to” – pomyślał.

Jednak musiał myśleć dalej, naliczył siedem wystrzałów, wiedział, że magazynek w P-83, którego używał rozwścieczony i podпиты oficer, ma osiem naboí – „jeśli dobrze liczę, to temu *kacapowi* został jeszcze tylko jeden” – myśli przelatowały automatycznie.

Na zewnątrz panował bezruch i cisza.

Powoli powstał, wyjrzał przez niewielki okrągły bulaj z grubego pancerne go szkła. Spostrzegł oficera siedzącego w podobnej pozycji, co on przed chwilą. Nogi wyprostowane, plecy oparte o ścianę korytarza. Bezwładnie opuszczona ręka, trzymała pistolet. Wydawał się już spokojny, zrezygnowany, otępiłym wzrokiem wpatrywał się w ścianę naprzeciwko.

Chyba wyczuł spoglądającego na niego Ernesta, bo również podniósł głowę wyżej, odwracając twarz w jego stronę. Spojrzeli sobie w oczy. Wściekłość ustąpiła miejsca zobojętnieniu.

Chłopak nie dostrzegł już tej pasji, która owładnęła kapitana przed minutą. Wiedział za to, że docierało do Golicyna poczucie tego, co właśnie uczynił. Poczucie winy i odpowiedzialności, świadomość zmierzenia się z nadchodzącymi konsekwencjami, ze wstydem i poniżeniem aresztowania. A co dalej miałyby nastąpić, to jedynie on, doświadczony i długoletni oficer KGB mógłby tylko sobie uzmysłwić. Chyba właśnie wyobrażenia podpowiadała mu najgorsze możliwe scenariusze, bo Ernestowi objawiła się równie okrutna myśl – „wygląda, jakby miał sobie strzelić tę ostatnią kulę w łeb”.

Myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, bo za jego plecami działo się coś, jakby nie był sam w pomieszczeniu. Dopiero teraz sobie uzmysłowił, oczami intuicji i podążającej za nią wyobraźni, wzmocnionej przez przykry zapach gryzącego dymu, swąd spalonej izolacji.

Powoli odwrócił się za siebie, by spojrzeć na metalowe obudowy szaf zasilających, zajmujących swoją wielkością całą ścianę.

– Tak. Dziękuję.

– Powiadomiłem już resztę w twojej drużynie, że wracasz do „domu”. Wiem, że byliście bardzo zgrani i zżyci. To piękne. Chociaż ostatnio oddaliłeś się od swoich, przez te wszystkie misje. Wiem, że to była piękna przyjaźń. Takie przywiązanie rodzi się tylko pomiędzy mężczyznami w wojsku, na wojnie. Myślę, że kobiety nie są zdolne do takiej przyjaźni. – Pułkownik uśmiechnął się nieznacznie, jednocześnie uważnie obserwując Ernesta. – Wszyscy o was mówią, jesteście sławni. Nawet jakiś dziennikarz chciał o waszej piątce napisać taki propagandowy artykuł, ale mu zabroniłem, ze względu na twoje tajemnice... – tutaj urwał, zdając sobie sprawę, że nie dociera już do chłopaka.

– On nazywał się Michel Jules Verne. Zawsze podkreślał to drugie imię „Jules” – Ernest na dobre zamyślił, wzrok utkwiał gdzieś przed sobą. – Nazywał się Michel Jules Verne – powtórzył stłumionym szeptem jeszcze dwa razy.

Zamyślił się jeszcze głębiej, nagle myśl przywołała wspomnienia, w ciągu kilku sekund przed jego oczami przeleciały wydarzenia ostatnich dwudziestu jeden miesięcy.

– Nie wiem, możliwe, ale w papierach ma tylko Michel Verne. Zresztą nieważne. – Pułkownik zorientował się, że z Ernestem nie ma już kontaktu. Powstał, podał Ernestowi rękę na pożegnanie.

Tym razem jego głos zrobił się oficjalny.

– To tyle. Dziękuję ci za wzorową służbę. Wracaj szybko do zdrowia. Powodzenia. Nie mówię do zobaczenia, bo nie jestem pewien, czy się jeszcze zobaczymy, ale kto wie? – Powoli i już ściszym głosem dodał – kto to wie, kto to wie...?

Jakkolwiek, by tajemniczo one nie zabrzmiały, były to ostatnie słowa pułkownika.

Był jeszcze osłabiony, siedział z przymkniętymi powiekami w samolocie rejsowym, próbując zapaść w drzemkę, gdy obok miejsce zajął szczupły, wysoki, starszy mężczyzna w szarej koszuli. Jego skinięcie głową na powitanie, wymusiło takie samo skinięcie Ernesta w odpowiedzi, jako gest potwierdzenia wolnego miejsca.

Coś było dziwnego, zastanawiającego w tej postaci, dopiero po chwili Ernest uzmysłowił sobie białą koloratkę za wąskim kołnierzykiem.

Otworzył szerzej oczy. Ksiądz wpatrywał się w przygnębionego chłopaka z jakąś taką nachalną śmiałością, dodatkowo wyciągnął do niego rękę na powitanie.

Ernest, by okazać dobre maniery, grzecznie, ale bez entuzjazmu, z ukrywaną niechęcią podał mu dłoń.

Oprzytomniał na dobre.

– Dzień dobry młody człowieku!

– Dzień dobry, jesteście księdzem?

– Tak właściwie, to zakonnikiem, jestem sekretarzem zgromadzenia misyjnego jezuitów w N'Dżamienie. Nazywam się Jean Paul Bollee.

Ernest uśmiechnął się na dźwięk usłyszanego, znajomego nazwiska. – „Może rodzina, bo trochę podobny” – pomyślał i zaraz odpowiedział na głos.

– Jestem Ernest, nie będę ukrywał, jestem żołnierzem legii i wracam do Francji.

– Domyśliłem się, że nie jesteś Francuzem, masz fatalny akcent młodzieńcze. W dodatku marnie wyglądasz, jesteś wychudzony, skóra wyschnięta, masz oparzenia słoneczne, strupy po wrzodach. Musiałeś dużo czasu spędzić na pustyni.

Ksiądz nadal przytrzymywał dłoń Ernesta, który powoli tracił pewność siebie, zrobił się wycofany, ponadto czuł się niezręcznie, gdy ksiądz zwracał się do niego „młody człowieku” lub „młodzieńcze”, ponieważ sam zwracał się z wyraźnym szacunkiem do księdza na „wy”.

Poza tym coś było w jego spojrzeniu, coś niosącego jakąś duchową siłę, nakaz poddania się spojrzeniu, zniewolenie bliskie zmuszeniu do wywrócenia wnętrza swojej duszy na zewnątrz, oczyszczenia jej najskrytszych zakamarków i pozbycia się wszystkich śmieci z tego worka.

Niektórzy duchowni tak mają, że potrafią rozpoznać, kto potrzebuje oczyszczenia duszy. Zdecydowanie przy tym człowieku określenie „duchowny” nabierało specyficznego znaczenia, to jak „zaglądający w duszę” albo „czyściciel dusz”.

Wreszcie ksiądz zwolnił uścisk i Ernest mógł zabrać swoją dłoń. Chłopak czuł siłę jego woli w swoim umyśle.

Po chwili silniki zawyły na pełnych obrotach, zagłuszając wszelkie inne odgłosy. Samolot wystartował. Gdy atmosfera na pokładzie samolotu doszła do normy, silniki jednostajnym, łagodnym szumem wypełniały całe wnętrze kabiny pasażerskiej, do Ernesta doleciało ciche, spokojne, ale stanowcze pytanie.

– Wyglądasz na zmartwionego i przygnębionego, widać, że cierpisz. Czy chcesz się wypowiedzieć synu?

– Nie robiłem tego od kilku lat. Nie wiem, czy jeszcze potrafię, zwłaszcza po francusku. Zresztą nawet nie jestem pewien, czy nadal jestem wierzący.

Ksiądz uśmiechnął się do zaskoczonego chłopaka.

– Zobaczysz, ulży ci, gdy wszystko wyznasz. Poza tym niewiara w Boga nie istnieje – oznajmił, z szerokim uśmiechem – albo Go znamy, albo nie.

– A jeśli jestem ateistą?

– To dobrze, ktoś powiedział, że dopóki istnieją ateści, Bóg ma szansę, że są ludzie, którzy o nim myślą. To jest taka pułapka logiczna. Jeśli twierdzisz, że nie wierzysz w Niego, to znaczy, że zakładasz jego istnienie. Nie stwierdziłeś, że Go nie ma, że On nie istnieje. Nawet jak powiesz „Bóg nie istnieje”, to już wymieniając Go z nazwy, wskazujesz, że słowo, którego użyłeś ma już jakieś uniwersalne znaczenie.

– Rozumiem, o czym mówicie. Kiedyś byłem religijny, pochodzę z kraju, w którym prawie wszyscy są religijni. Bo to taka postawa sprzeciwu wobec opresyjnej władzy.

– Twój akcent wskazuje na wschód Europy. Chyba się domyślam, skąd pochodzisz.

– Z Polski. – Ernest wyrzucił z siebie, nie patrząc na rozmówcę.

– Tak myślałem. Dlaczego opuściłeś kraj? Uciekasz, ukrywasz się, popełniłeś coś złego?

Te pytania zirytowały Ernesta.

– Nie, nic złego nie zrobiłem, tak mi się wydaje. Nic, co mogłoby ciążyć na moim sumieniu – odpowiedział stanowczo, wciąż ze wzrokiem utkwionym w dół dodał – ale jednak jestem uciekinierem.

Ksiądz uśmiechnął się, chociaż Ernest tego nie mógł zauważyć.

– A co się stało, że straciłeś wiarę? A może tylko na chwilę obraziłeś się na Pana Boga?

– Wojna się stała, śmierć, pełno śmierci dookoła. Kłamstwa i chciwość, nędza i głód, wszechobecne zło i okrucieństwo. – Ernest zawiesił na chwilę głos, nie chciał się rozpędzać.

– Dobrze, mów dalej. Świetnie ci idzie. Jeszcze trochę a oczyścisz swój umysł i duszę. Mamy czas, przed nami prawie cztery i pół tysiąca kilometrów.

– Trzech moich przyjaciół, jeden z nich mój rodak, zostało jeszcze w Afryce. Niedawno dwie bardzo bliskie mi osoby poniosły śmierć, sam ledwo przeżyłem. Jedna z tych osób jest w trumnie, w luku bagażowym tego samolotu. – Ernest wreszcie podniósł głowę, spojrzał na księdza. – To Belg, już nie wróci do swojego miasteczka, nie będzie już pisarzem, skończyło się. Pewnie zostanie pochowany w gdzieś w Aubagne lub Puyloubier na cmentarzu wojskowym, którym opiekuje się komisja weteranów.

– Możesz się modlić za niego tak jak za innych zmarłych i poległych. Pewien filozof stwierdził, że modlitwy nie zmieniają świata, ale zmieniają ludzi, a ludzie zmieniają świat.

Ernesta olśniło, z dominacją w głosie oznajmił.

– Tak, będę się modlił za przyjaciela, ale chyba nie ma innych modlitw, każda jest za zmarłego. Wolę to niż spowiedź. – Zastanowił się, bo odniósł wrażenie, że to stwierdzenie jemu bardziej wydawało się przekonujące, niż jego rozmówcy.

Usłyszał w odpowiedzi:

– Każdy potrzebuje spowiedzi, każdy potrzebuje uwolnienia się od własnych, wewnętrznych potworów, zżerających go od środka.

– To chyba racja, ale przez ostatnie pięć miesięcy ja się regularnie spowiadałem. Oczyszczałem swoją duszę. Zabiłem wszystkie moje wewnętrzne potwory. Nic mnie nie obciąża.

Ernest popatrzył zdecydowanym, śmiałym, nawet hardym spojrzeniem w oczy księdza. Teraz to jemu wydawało się, że Ernest przeświecła go swoim wzrokiem, przenika jego umysł i duszę.

– Muszę przyznać, że jest coś w tobie. Jest jakaś siła umysłu, ale jest i niepokój, jest też jakaś tajemnica. – Zamilkł i uśmiechnął się szeroko.

Ernest dostrzegł w tym uśmiechu poczucie wyższości, nie zrozumiał w pełni tych słów.

Ksiądz mówił dalej.

– Mówiłem już, że marnie wyglądasz, w dodatku byłeś ranny. Jednak to tylko ciało, prawdziwie cierpi twoja dusza, a oczy wołają o przebaczenie, to też łatwo dostrzec. Jeśli straciłeś kogoś bliskiego w tej wojnie, to i tak Bogu należy się chwała i zaufanie. Należy tylko odszukać w sobie to zaufanie i tę wiarę. Bez względu na to, co myślisz o mnie, jako człowieku, który podaje ci pomocną dłoń, nie powinieneś odrzucać tej pomocy przy poszukiwaniu w sobie tej wiary.

– Mówicie, że mam szukać w sobie tej wiary? Ale jak mieć pewność, że ona tam jeszcze jest, chociaż trochę? Wszystka ulatuje pod wpływem tych okropieństw, jakie widziałem i doświadczyłem. Nawet jeśli walczymy z tym złem, to wciąż pozostaje cierpienie. Pełno tego widziałem, wszędzie napotykałem cierpienie. O tak, widziałem bezkresne morze cierpienia, większe niż ta pustynia, nad którą lecimy. – Ernest spojrzał odruchowo przez bulaj, pustynia, w jeszcze większym stopniu niż morze, wywoływała w nim wrażenie, że znajduje się na olbrzymim stole, a horyzont jest jego brzegiem.

– Cieszę się, że jednak rozmawiamy, że wyrzucasz z siebie to, co cię gnębi. Jaka jest różnica między cierpieniem, którego doznajemy, a tym, które sprowadzamy na innych? Walcząc ze złem, zadajesz cierpienie. Więc zabijanie jest złe, nawet jeśli twoje pobudki są dobre. Ani Bogu, ani ludziom nie można służyć z bronią w ręku.

Ernest zamyślił się na chwilę, nie dorównywał jezuicie w dyskusji na takie tematy, brakowało mu argumentów, brakowało mu wiedzy i obycia.

Poczuł się nieswojo. Niechętnie brał udział w tej grze na pytania i odpowiedzi. Nie rozumiał tej gry, nie wiedział, dokąd go ta gra doprowadzi. Zrozumiał, że ksiądz miał rację, niezależnie od intencji, każdy akt przemocy, obojętnie czy w agresji, czy w obronie, rozsiewa cierpienie, jednej albo drugiej strony.

Wciąż milczał, gdy znowu usłyszał głos księdza.

– Powinieneś wiedzieć, że w Boskim planie niektórzy rodzą się, by cierpieć. I nigdy nie przestają cierpieć, nawet na chwilę, bo to od Niego ono pochodzi. Pewnie nigdy nie wziąłeś pod uwagę, że ty również. – Popatrzył na Ernesta, by upewnić się, że rozumiał jego przesłanie. – Czy zastanawiałeś się kiedyś nad celem naszego życia, nad tym, skąd pochodzimy i dokąd zdążamy?

– Często się zastanawiałem, zawsze, gdy w środku nocy na pustyni patrzyłem na gwiaździste niebo, pełne barwnej poetyki i romantyzmu.

– I do jakich wniosków dochodziłeś?

– Właściwie to do żadnych. Pytania o ten cel i przyczynę ułatwiały się, gdy po prostu napawałem się tym obrazem wszechświata, próbowałem dostrzec tam pomiędzy mgławicami gwiazd Jego obecność. Widziałem wszechświat, ale Jego nigdy mi się nie udało. – Ernest uśmiechnął się, wypowiadając te słowa.

– To też dobrze – jezuita również się uśmiechnął. – Celem życia jest osiągnięcie zbawienia. Przecież wasz papież uczy, że cierpienie jest drogą do zbawienia, że gorsze od tego ziemskiego, doczesnego jest ostateczne cierpienie, jako nieosiągnięcie zbawienia, utrata życia wiecznego, na przykład przez odrzucenie Boga.

Ernest popatrzył na rozmówcę ze zmęczeniem i znużeniem.

– Muszę was zapytać. Dlaczego tak zawsze jest, że cierpią tylko najslabsi, najbiedniejsi, bezbronni? Przecież oni nie zadają takich pytań ani nie interesują ich te odpowiedzi. Chcą tylko w spokoju i w codziennej harmonii uprawiać swoją ziemię, hodować kozy, chcą żyć, chcą wykarmić dzieci i chcą być szczęśliwi. Jedynym sensem ich życia jest walka z pustynią. To piasek, wiatr i słońce jest jedyną realną siłą, która nadaje rytm ich życiu, jedynym bóstwem, w które wierzą. Czy On nie mógłby jakoś sprawiedliwiej rozdzielać to cierpienie?

Tym razem to ksiądz zamilkł, musiał się zastanowić.

– Ludzie, nie rozumieją Jego planów, dlatego gniewają się na niesprawiedliwość smutnego i żalostnego losu, ten gniew przeradza się w złość i kipiącą wściekłość, którą właśnie nazywamy cierpieniem duchowym. – Zrobił pauzę, spoglądając na chłopaka. – Teraz cierpisz, bo straciłeś swoich bliskich, przyjaciela i przyjaciółkę. Będzie ci łatwiej, jeśli pogodzisz się z tym, że to był Jego plan, jeśli podporządkujesz się jego woli. Może On po prostu tak chciał, bo miał taki plan.

Ernest popatrzył na księdza z niepewnością w oczach, na tę niepewność zareagował irytacją, która nie była obecna w spojrzeniu, ani w jego głosie, dusił w sobie tę irytację, tłumił w sobie złość. Chciał zakrzyknąć na całe gardło „*Fuck you!*” albo „*Va te faire foutre!*”, albo siarczyste „*Spierdalać!*”

Jedno z nich ten przemądrzały ksiądz na pewno by zrozumiał.

Odczekał i w końcu łagodnym tonem odpowiedział.

– Co to za Bóg, że musi, pokazywać kto jest silniejszy, co to za Bóg, który musi udowadniać, że jest ważniejszy? Taki był zazdrosny o siostrę Élodie, że musiał zabrać ją do siebie, bo wybrała najemnika, bo wybrała swoje życie, studia, medycynę, zamiast Niego? Bo co, nie chciał, nie mógł się pogodzić z jej szczęściem? – Pytanie było agresywne w swej retoryce, a spojrzenie Ernesta przepełnione egoistyczną goryczą.

Zawstydzony tym swoim egoizmem, opanował się, przyjmując widoczną postawę uległości i poddania się.

Nie wytrzymał napięcia, jakie w nim narosło, miał dosyć rozmowy z księdzem. Miał dosyć wszystkiego, odwrócił głowę w bok, by ukryć łzy, które napłynęły mu do oczu, płacz przyszedł mimo woli.

Po kilku sekundach konwulsje szlochu szarpnęły jego ciałem.

Wciąż patrzył przez bułaj, gdy się uspokoił, usłyszał głos księdza.

– Rozumiem cię, rozumiem twoje rozgoryczenie, rozumiem twoje łzy. Nie musisz się wstydzić łez, płacz jest dobry i naturalny, to nie oznaka słabości, ale siły. Łzy rodzą się w sercu. Jeśli wstydzisz się swoich łez, to tak jakbyś nie chciał się przyznać do posiadania serca.

Ernest zwrócił wreszcie twarz w stronę rozmówcy, a ten jeszcze dodał:

– Jesteś bliski oczyszczenia i rozgrzeszenia. Skruchę już wyraziłeś, jeszcze tylko musisz wyrazić żal za grzechy.

– Myli się ksiądz, to nie była żadna skrucha. To był żal, ale też nie za grzechy. Ogromny żal i złość na tę wielką niesprawiedliwość w rozdawaniu cierpienia i przyjemności. Jeśli ilość jednego i drugiego na świecie jest stała, a wszystko się

wyrównuje, to oznacza, że jedni mają za dużo cierpienia lub tylko to, a inni mają za dużo przyjemności i bogactwa.

– Nie chcesz więc rozgrzeszenia?

– Nie potrzebuję rozgrzeszenia, tak jak nie potrzebowałem tej spowiedzi, mówiłem wam przecież już na początku. Teraz jestem zmęczony, chciałbym się zdrzemnąć, jeśli pozwolicie. – Ernest usadowił się wygodniej, oparł głowę ponownie, lekko obracając się w stronę okna.

Przymknął oczy.

Ksiądz zamilkł, zrozumiał, że raczej już z Ernestem nie będzie kontaktu.

Reszta podróży upłynęła mu w półśnie, jednostajny szum silników nie pozwalał na głębszy sen, jednocześnie monotonia powoli przesuwającego się krajobrazu oraz osłabienie spowodowane pobytem w szpitalu nie sprzyjała pełnej aktywności umysłu.

Zresztą nie miał ochoty na żadną dalszą dyskusję z przemądrzałym jezuitą.

W stanie płytkiej drzemki pojawiły się wspomnienia przeżyć ostatnich kilku miesięcy. Pomyślał o Mahamacie, o ich niespełnionej przyjaźni, która się pojawiła równie szybko, jak niespodziewanie zgasła. Zobaczył pod przymkniętymi powiekami jego matkę, przypomniało mu się, jak wręczyła mu broszurę z jego wierszami. Potem rozmyślał o niewinnej Agarze, o jej krzywdzie. Zobaczył w marzeniach czerwone i zielono fosforyzujące tatuaże na jej ciemnych policzkach, przypomniał sobie jej włosy, warkoczyki, kok i złote blaszki wokół szyi. Wyobrażenia przypominała mu czarną jedwabną suknię pachnącą haszyszem, odczucie było tak realistyczne i silne, że poczuł tęsknotę, ponownie przypomniał sobie, niemalże poczuł dotyk jej warg, jej szybki, impulsywny pocałunek w namiocie i to, co potem się stało. Wreszcie wyobraził sobie jej zdeformowaną poparzeniami skórę na twarzy i ramionach.

Nie zdawał sobie sprawy, że nadal płacze, że łzy wymykały się spod jego przymkniętych powiek.

Wedy w sennej wizji pojawiła się Élodie, jej gładko i ciasno upięte włosy, jej duże, szeroko otwarte oczy na oliwkowej cerze twarzy z łagodnym blaskiem. Jej przyjazny i stały uśmiech. Jej szczupła, niewysoka postać w szarym, krótkim do kolan habicie.

Wydawało mu się, że zawsze patrzyła na niego szczerze, a jednak wiedział, że wiele przed nim ukryła, chociaż on również miał swoje tajemnice

Przypomniał sobie złożoną obietnicę, że kiedyś opowie Élodie o czarownicy, którą spotkał pośród ludu Tubu, gdy przywiózł chorego i rannego Mahamata do rodzinnego domu. To wtedy, następnego dnia ją poznał. I od tego momentu nie mógł przestać o niej myśleć. Każda myśl o niej była jak lekarstwo, jak porcja dobra, przeciwnie do każdego, przelotnego nawet wspomnienia Mahamata lub Agary, które nie wiedzieć

czemu, zawsze już dręczą jego sumienie i podświadomość. Ten ból wciąż i nadal poruszał nim, to, co na trwałe zagnieździło się w jego głowie, to był obraz okaleczonej Agary.

Nie przewidywał, że będą go dręczyć już do końca jego życia.

Potem przeleciały mu przez senną świadomość wszystkie obrazy zmasakrowanych ludzi, pokrzywdzonych kobiet, dzieci. Znowu był w wioskach, w których dokumentowali zbrodnie, widział pod powiekami makabryczne sceny bezładnie rozrzuconych ciał pomordowanych, pomiędzy którymi ostrożnie się poruszali. Albo stosy ciał poukładane w chatach, poczuł wtedy smród rozkładu pomieszany z dymem spalenizny. Wszystko to nadal go bolało, wszystko było prawdą, nadal było też prawdą to szaleństwo, którego był świadkiem. Rozumiał, przerażało go, że to cały czas, nadal tam się dzieje, to szaleństwo stłumione, zakończone w jednym miejscu, odradzało się z podwójną mocą w innym.

Przypomniawszy sobie misję, właściwie to drugi raz je przeżywał. Może liczył, że miały dać mu poczucie zemsty, że trochę odplacił wszystkim siewcom zła. Jednocześnie odrzucał satysfakcję, więc uczucie ulgi nie przychodziło, albo pojawiało się w zbyt małych porcjach, aby mógł wykasować obrazy zła z zakamarków pamięci, aby wyrwać korzenie smutku i poczucia ludzkiej krzywdy.

Wreszcie powrócił do miejsca, w którym się teraz znajdował, do rozmowy z księdzem, jeszcze raz usłyszał całą rozmowę.

Nieoczekiwanie, wszelkie wizje zniknęły, bo pojawiła się niespodziewana, nagła, jasna myśl, jak olśnienie. Przecież Ernest nie wspominał temu jezuitcie nic o Élodie, skąd u licha, on wiedział, że stracił przyjaciółkę. Czyżby ten nieopatrznie wygadał się? Czy to był podstawiony ksiądz, po to, aby go wy badać, aby sprawdzić stan jego psychiki? Aby sprawdzić, czy się jeszcze nadaje do służby?

Już nie przeczuwał, ale nabrał przekonania graniczącego z pewnością, że to służby wywiadowcze lub kontrwywiad, w ten sposób kontrolują swoich podwładnych, ludzi do zadań takich, jakie jemu przypadło wykonywać.

Senność i znużenie odleciały, poczuł przypływ energii.

Do końca lotu już nie mógł zasnąć, ale też nie zdecydował się na otwarcie oczu i choćby na krótkie spojrzenie na człowieka obok, który podawał się za księdza.

Epilog

W dwa lata po powrocie do kraju, trochę po upadku muru berlińskiego Ernest zdobył adres uniwersytetu w Lyon, na który wysłał list z prośbą o doręczenie studentce: Alouette Durandelle, upoważnił do otwarcia listu, w przypadku, gdyby na uczelni, zarejestrowanych było więcej osób o takim imieniu i nazwisku.

W krótkim liście poinformował dziewczynę, o znajomości z jej matką Claire. O tym, że był jej współpracownikiem i był obecny przy jej śmierci, że czuje się winien, że mu przykro i że przeprasza. Jeśli potrzebowałaby pomocy, to jest gotów przyjechać i udzielić wsparcia, nawet niewielkiego finansowego.

Pięć tygodni później otrzymał list z odpowiedzią, właściwie kartkę pocztową w białej kopercie. Szybko przeczytał cztery krótkie zdania:

„Monsieur,

Z przykrością muszę poinformować, że przez pomyłkę skontaktowaliście się z niewłaściwą osobą, o takim samym nazwisku.

Moja matka żyje i czuje się dobrze, jej imię to Anna, nie Claire, nigdy nie współpracowała z żadnym Polakiem. Jednocześnie pragniemy zaoferować naszą pomoc, wiedząc w jak trudnej sytuacji gospodarczo-politycznej znajduje się Wasz kraj. Prosimy o kolejny kontakt listowny, gdybyście mieli taką potrzebę, adres obok.

Cordialement.

A.D.

Ernest nie mógł uwierzyć w to, co przeczytał.

Zrobił to jeszcze raz, potem kolejny. – „Jakaś pomyłka? Jak to? To wszystko jednak jakieś, takie tajemnicze. Co ona z tą sytuacją polityczną? Powinna raczej napisać: *prosimy o kontakt, gdybyśmy mogli w jakiś sposób pomóc*, albo jakoś tak, bo jaką ja potrzebę mogą mieć?

Wtedy bezwiednie spojrzał jeszcze raz na zdjęcie miasta na widokówce. Przyglądał się przez chwilę, drobny szczegół przykuł jego uwagę.

Widokówka przedstawiała panoramę wzdłuż ulicy jakiegoś francuskiego miasta, które wydało mu się dziwnie znajome. Niby zwykła perspektywa, pejzaż miejski sfotografowany w słoneczne popołudnie, a jednak coś przyciągnęło jego wzrok na dłużej. Na pierwszej kamienicy wyraźny szyld z nazwą ulicy „*Rue Sainte-Eugénie*”. Następny budynek był jakimś barem lub restauracją, nad szerokimi oszklonymi

drzwiami czerwony baner z napisem wykaligrafowanym złotymi literami: „*Café le petit rossignol*”. Na szybie ręcznie namalowany taką samą złotą farbą symboliczny słowik.

Identyczny z tymi na szklankach, w których podawano tam autorskie drinki.

Zimny pot na plecach, serce mu załomotało, już wiedział.

Oparł się o krzesło, podniósł głowę do góry, zamknął oczy, wyrównał oddech i uspokoił myśli. Jednak emocje już nie zdołał wyciszyć, bo wtedy wrzasnął na całe gardło.

– Kuuurrrrrwaaaaaa! Okłamał mnie! – Dokończył już normalnym głosem. – Ale czułem, że coś było nie tak. Przecież nie widziałem jej ciała. Kazał mi wyjść i wyjechać tak szybko, ale okej, rozumiem, że to dla jej bezpieczeństwa. Oczywiście, że ją cenił wyżej, jako wykształconego i doświadczonego oficera wywiadu. Przecież ja zwykłym cynglem byłem. Możliwe też, że w ten sposób uwolnił mnie, może nawet ocalił mi życie.

Wtedy opanował się, odetchnął z ulgą. Natychmiast przystąpił do pisania listu do osoby o inicjałach „A.D.”.

Rok później wyjechał na wycieczkę do Lyonu.

Przez kilka lat żył Ernest w przekonaniu, że wyrównał rachunki z przeszłością, wypierając ją, odsuwając ją na dno swojego sumienia, lecz miał się przekonać na własnej skórze, że nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy ta przeszłość przypomina o osobie, upominając się po swój haracz.

Jego dopadła nagle i bez ostrzeżenia, budząc stare koszmary, wydobywając z zakamarków na dnie świadomości wszystkie wspomnienia i skrywane przez długi czas, przeżycia.

Po ośmiu latach pracy w miejscowym oddziale banku PKO, w kwietniu 2002 Ernest został zrekrutowany przez Krakowski Instytut Technologii do pracy w nowo powstałym oddziale skandynawskiej korporacji finansowej w Warszawie.

Nie przewidywał, że wyjazd w połowie czerwca na delegację do centrali firmy w Kopenhadze, będzie taką pobudką dla wszystkich tajemnic i wspomnień, które udało mu się pochować, zapomnieć lub wyprzeć.

Prosto z lotniska pojechał taksówką, na pierwsze spotkanie, jakie mu wyznaczono. Miało odbyć się z przedstawicielami departamentu bezpieczeństwa, potocznie nazywanego przez miejscowych pracowników „*Kommando Central*”.

W obszernym pomieszczeniu konferencyjnym czekały na niego dwie osoby, oprócz menadżera odpowiedzialnego za bezpieczeństwo, niejakiego Heninga Richardsena, była jeszcze jakaś Mette, której nazwiska nie zapamiętał.

Przywitano go bardzo przyjaźnie i serdecznie, uściski rąk, uśmiechy, uprzejme słowa powitania. Nie zauważył momentu, gdy do pokoju konferencyjnego wszedł trzeci, szczupły i wysoki mężczyzna w średnim wieku.

– *Hallo Ernest, certainly nice to meet you again. How are you?*

Serce załomotało, ciśnienie skoczyło, krew uderzyła do głowy, zaczerwieniając Ernestowi twarz i szyję, był w stanie wybełkotać tylko niezrozumiale – „*hallo, nice to meet you again*” – gdy odwróciwszy się, zdumiony, z szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w twarz człowieka stojącego przed nim.

Twarz Larsa Larsena.

Mimo wszystko uśmiechnęli się do siebie.

– Ile to lat już mięło, jakieś czternaście, piętnaście?

W odpowiedzi Ernest tylko skinął na potwierdzenie.

– Cieszę się, że mogliśmy cię poznać. Usiądźmy przy stole i porozmawiajmy. – Głos szefa bezpieczeństwa, Heninga Richardsena był łagodny, nieco ochryply. – Trochę o tobie usłyszeliśmy. Przyjmując cię do pracy, zdecydowaliśmy, że chcemy się z tobą spotkać. Tutaj w centrali.

– Wszystkich tak zapraszacie?

– Nie, w warszawskim oddziale jest sporo młodych, nowych ludzi, ale to na tobie nam zależy – odpowiedział szef.

Mette milczała, w międzyczasie otworzyła jakiś skoroszyt, jakby chciała robić notatki. Lars siedział naprzeciwko i również milczał.

– Zaczynam się domyślać, że ten instytut z Krakowa, zwrócił się do mnie z propozycją pracy na wasze zlecenie?

– Zgadza się. Firma, która ściągnęła cię do nas, sprawdziła cię, ale prawdziwe świadectwo o tobie dał Lars.

Ten uśmiechnął się i delikatnie skinął głową, Hening kontynuował swoje.

– Potrzebujemy sprytnych i mądrych ludzi. A co najważniejsze oddanych i uczciwych. Będziesz nam potrzebny, zarówno tam w Warszawie, jak i u nas również. Trzeba mieć na nich wszystko oko. Czy możemy ci zaufać? Oczywiście wszystko w tajemnicy.

– Jeśli zachowanie tajemnicy, nie sprawia bólu, to żadna tajemnica. – Ernest właściwie nie był pewien, dlaczego tak odpowiedział.

Powoli docierało do niego, z jakiego powodu tak gładko otrzymał tę pracę. Z jednej strony niezła gratka to stanowisko w dużej międzynarodowej spółce, ale to, co właśnie mu się teraz przytrafiło, zdecydowanie mu się nie spodobało.

Czy to przeznaczenie upomniało się o niego – „może ta afrykańska klątwa znowu mnie dopadła?” – ta myśl zagnieżdżyła się w głowie na dobre, była jak natręctwo, nie chciała go już opuścić do końca spotkania, nie zdawał sobie sprawy, że będzie powracać bardzo często, przez kolejne kilka lat.

Ale to już zupełnie inna historia.

Pablo zakończył swój pięcioletni kontrakt, trzykrotnie jeszcze wyjeżdżając do Afryki w kolejnych turach. W uznaniu zasług i za wzorową służbę dwukrotnie otrzymał i przyjął propozycję przedłużenia pięcioletniego angażu. Był z nich najwytrwalszy. Po piętnastu latach zakończył służbę, zakończył swoją pracę. Opuścił Nimes, za zarobione i zaoszczędzone pieniądze, kupił niewielki dom na wysokim, skalistym brzegu morza, w średniej wielkości, prowansalskim miasteczku Mandelieu La Napoule, kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Nicei. Było to jego wymarzone miejsce.

Początkowo szukał namiarów na Ernesta przez biuro w sztabie legii, chciał z nim nawiązać utracony kontakt, korespondować. Niestety, gdy ten wyjechał z Nimes, ślad po nim zaginął.

Pablo nigdy się nie ożenił, nie miał dzieci.

Po wielu latach wreszcie spotkali się w Warszawie, podczas wizyty Pabla u swoich rodziców na Żoliborzu.

Wcześniej, gdy Ernest przeprowadził się do stolicy w celu podjęcia pracy, odwiedził ich pod adresem, który kiedyś Pablo mu przekazał. Zostawił im swój numer telefonu, z prośbą o kontakt, gdyby Pablo pewnego razu się pojawił w mieście.

Oczywiście Pablo zaprosił przyjaciela do siebie na wakacje. Ernest skorzystał z zaproszenia, odwiedzając go wraz ze swoją żoną w lipcu 2014 roku. Jednak spotkanie nie przebiegało zgodnie z ich oczekiwaniami, byli zdystansowani, ulotnił się gdzieś czar ich przyjaźni i wspólnoty. Przeżycia i długi czas niewidzenia się odmienił ich.

Obaj byli już zupełnie innymi ludźmi. Tym razem to Pablo był pogodny i otwarty, cały czas uśmiechał się szczerze. Ernest zaś pod maską swojego uśmiechu skrywał

swoje tajemnice, był mało mówny, wiecznie milczący. Nie mieli wspólnych tematów, nie rozmawiali o Afryce, o Czadzie, zwłaszcza milczeli na temat Élodie.

Greg pozostał w jednostce do końca swojego pierwszego pięcioletniego kontraktu, jako instruktor strzelania precyzyjnego dla młodych rekrutów. Do Afryki, na misję już nigdy nie wyjechał. Regularna listowna znajomość z Sophie zmieniła się w regularne spotkania. W tym czasie dziewczyna ukończyła swoje studia na uniwersytecie w Montpellier. Pomimo prawniczego wykształcenia, zawsze pozostała wierna swojej żeglarskiej pasji.

Greg powrócił do rodzinnego Dundee razem z Sophie, oboje tęsknili za morzem, nigdy nie został wojskowym ani oficerem marynarki. Za zarobione pieniądze oraz przy wsparciu rodziny, kupił duży jacht, by spędzić resztę życia, podróżując razem ze swoją wybranką żeglarką. W pierwszej kolejności udali się na zachód do Ameryki Północnej śladem jego przodków, którzy tam wyruszyli przed trzema, może czterema wiekami.

Będąc jeszcze w służbie legii Greg i Pablo spotykali się regularnie w Puyloubier, co roku przy tablicy i urnie z prochami Belga. Była to ich spontaniczna tradycja, od momentu, gdy przypadkowo spotkali się w rok po jego śmierci. Wtedy postanowili, że będą robić to systematycznie, tak długo, jak długo będą w służbie legii.

Okazało się, że Pablo najdłużej.

Umówili się, że będą obchodzić te rocznice, nie celebrować, nie świętować, ale pamiętać, wspominać o męskiej przyjaźni, o braterstwie, o męstwie, oddaniu i poświęceniu. Będą to robić w każdą w rocznicę jego śmierci, w rocznicę śmierci ich przyjaźni, w rocznicę śmierci Élodie.

Nikt z nich, nigdy nie dowiedział się, gdzie została pochowana. To śmierć tej kobiety, śmierć niewinnej dziewczyny rozdzieliła ich losy. Znali jej zauroczenie Ernestem i nieskazitelne uczucie aż do ostatniego momentu. Młodej dziewczyny, która nie była pewna, kogo kocha bardziej, rozdartej pomiędzy miłością do Boga a taką zwykłą, ziemską, ludzką do Ernesta. Nie potrafiła się zdecydować, którą miłość wybrać. Jej uczucie było czyste i uczciwe, ale było też jak jakieś rozdwojenie jaźni, było jak schizofrenia, bo może jakimś nadnaturalnym wyobrażeniem wydawało się jej, że może mieć i kochać ich obu.

A może to tylko jego wyobrażenia i rzeczywiście zmyślił wszystko. Z całą pewnością, jak ktoś, kiedyś powiedział – łatwiej to wszystko przeczytać, niż doświadczyć i przeżyć.

Tylko te jego listy i zdjęcia ...

Koniec.



Sylwester K. Erasmus – (1965 r.) inżynier z artystyczną duszą, długoletni pracownik korporacji finansowej. Balansuje więc pomiędzy dwoma światami: materialnym i duchowym.

Pasjonat sztuki i literatury. Realizuje się w malarstwie sztalugowym. Maluje od zawsze, zawsze rozdaje swoje prace. Píše od zawsze, zawsze do szuflady.

Żądny pochwał i ludzkiego podziwu, od wielu lat wciąż z ogromną wewnętrzną motywacją.

Dlatego, właśnie postanowił spełnić swoje młodzińcze marzenie. Wydobyl z szuflady tekst, aby wydać swoją pierwszą powieść – „Schizofrenia”.

W przygotowaniu kontynuacja przygód głównego bohatera pt. „Paranoja”.

Przez wiele lat był autorem bloga o sztuce: „[a to sztuka właśnie..”](https://atosztukawlasnie.blogspot.com/)

(<https://atosztukawlasnie.blogspot.com/>), gdzie prezentuje swoje artykuły dotyczące „ludzkiego” postrzegania sztuki, oraz prezentuje wybrane własne prace malarskie.

Schizofrenia to opowieść o młodości w trudnych czasach PRLu połowy lat 80 - socjalistycznego raju na ziemi. Poznajemy głównego bohatera w przygodach rzucających go w zakasujące miejsca, od wód Bałtyku, przez pracę w kontrwywiadzie wojskowym, aż do piasków południowej Sahary.

Młody chłopak – Ernest, zbuntowany przeciwko systemowi, pełen wewnętrznych rozterek, robi wszystko wbrew. Nie zdaje sobie sprawy, że ten system też w pewien sposób go chroni.

Doświadcza swoich pierwszych miłosnych uniesień, jednak musi emigrować z kraju, zaciąga się do się Legii Cudzoziemskiej. Trafia w centrum rozgrywek geopolitycznych i plemiennych w Czadzie ogarniętym wojną domową w 1986 roku. Poznaje, co to męska przyjaźń, honor, odpowiedzialność za towarzyszy broni, wierność ideałom. Poznaje zwyczaje i życie mieszkańców na pograniczu pustyni i Sahelu, ludu Tubu.

Odnajduje miłość swojego życia. Jednak przeznaczenie ma inne plany wobec młodego najemnika. Ociera się o okrucieństwo wojny, widzi ogrom bestialstwa oraz beznadzieję losu ludzi uwikłanych w tę wojnę. Nie potrafi, a może nie chce uwolnić się od klątwy „białego lwa” – zabójcy?

Wreszcie, życie na krawędzi świata wojny i pozornego pokoju, jak w transie, powodują, że sam już nie wie, co jest prawdą a co ułudą. Może to wszystko, czego doświadczył, to rezultat jakiegoś rozdwojenia jaźni – schizofrenii.

Czy żołnierskie braterstwo przetrwa próbę czasu, czy więzy młodzińczej przyjaźni będą silniejsze niż chwilowe rozczarowanie? Czy Ernest zda perfidny test, jaki przygotował mu socjalistyczny raj? Czy jego doświadczenia okażą się prawdziwe? Czy istnieją dowody na wiarygodność jego opowieści?

Gdy po wielu latach osiąga spokój sumienia, świadomość wypiera i zapomina całe zło, którego doświadczył, klątwą upomina się po swojego sługę.

ISBN 978-83-978733-0-8



9 788397 873308